



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Maryan Gawalewicz.

REDAKCYJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

NASZ KWESTYONARYUSZ PANIENSKI.



W numerze niniejszym rozpoczynamy drukować łaskawie nam nadesłane odpowiedzi pańien na szereg postawionych im pytań w sprawach zasadniczych i żywotnych, dotyczących kobiet młodszego pokolenia.

Odezwa nasza przyjęta została z uznaniem i wzbudziła gorące zajęcie w szerokich kołach; otrzymaliśmy 101 listów z miasta i ze wsi, podpisanych przeważnie pseudonimami, chociaż wiele z nich opatrzonych było całym imieniem i nazwiskiem.

Wszystkie cechuje szczerść i jasność poglądów na dzisiejsze stanowisko i przyszłe zadania kobiety w społeczeństwie i rodzinie; nie znaleźliśmy ani jednego wyjątku z chaotycznymi jeszcze pojęciami o życiu i z frazeologią naszpikowaną błyskotliwymi słowami, co nas przekonywa, iż tylko bardziej inteligentne i umysłowo dojrzałe jednostki wzięły udział w naszym Kwestyonaryuszu.

Nie chcąc uprzedzać czytelniczek o ogólnym wyniku tych wywiadów, aby nie osłabiać ich zajęcia i nie podsuwać przedwczesnych wniosków, pozostawiamy sobie ostatni głos w sprawie tak ważnej, jak wybadanie stanu młodych serc i umysłów młodszego pokolenia, z którego przyszłość wytworzyć ma

żony, matki, podpory rodziny i pracowniczki na rozmaitych posterunkach społecznych.

Nie mamy zamiaru i potrzeby drukować wszystkich listów, znajdujących się w naszej tece redakcyjnej, nie dlatego, aby na to nie zasługiwały, ale z powodu znacznej jedności zdań i powtarzających się rozumowań na jeden i ten sam zgodny temat.

Wybraliśmy tedy tylko najcelniejsze i najbardziej indywidualne odpowiedzi, które uważać możemy niejako za zbiorowy wyraz przekonań i poglądów całych grup panińskich, mających wspólne ideały, cele i zapatrywania; wydrukujemy te listy w całości i bez zmian, z wyjątkiem jedynie pewnego ujednostajnienia pisowni, zachowując wszelako ich stylistyczne właściwości, dla uwydatnienia tem większej charakterystyki autorek, które stanęły do apelu, jako przedstawicielki i rzeczniczki dążeń i praw kobiecych w nowym pokoleniu.

Mamy niepłodną nadzieję, że głosy te w wysokim stopniu zajmą rozważną opinię publiczną i obudzą w niej niejedną refleksję, naprowadzą na nie jeden wniosek i nie jedną uwagę w sprawie, traktowanej dotychczas u nas przeważnie ze stanowiska teoretycznego, rozbieżnej bez dokumentów i żywego materiału w ręku.

Po raz pierwszy powołano do takiej publicznej spowiedzi i wyznania wiary zastęp młodych, myślących i czujących istot, którym odmawiało się dotąd prawa głosu i wyznaczało rolę zupełnie bierną przez fałszywie

często zrozumiany rygor, przyzwoitość lub ostrożność.

A jednak każda z tych młodych dusz stanowi osobny, ograniczony w sobie światek, który dla badacza, psychologa, wychowawcy, moralisty i socjologa przedstawia nader ważny materiał do studyów i obserwacji, — światek do czasu zamknięty i niedostępny, z którego w danej chwili wyłania się, jak z osutych obsłonek poczwarki, istota sformowana zupełnie i tak odmienna często od tej, którą się ujrzeć spodziewano.

Niechże ta sposobność podglądnięcia zakrytych tajemników duchowych kobiety-poczwarki, nie przeminie bez korzyści i bez dodatnich rezultatów!

Niech starsze pokolenie kobiet, matek, wychowawczyń z uwagą rozczytuje się w tych zeznaniach panińskich i nauczy się sądzić o toczącym się w młodych sercach i umysłach procesie rozwoju, który powinien im podać wskazówki do zorientowania się w trudnej a tak odpowiedzialnej sytuacji swego powołania i obowiązków!...

Niechaj i mężczyźni z większym zajęciem posłuchają tych głosów i zdań o sobie, które ich przyszłe żony i matki rodzin wypowiadają szczerze i otwarcie i niech się głębiej zastanowią nad dzisiejszym swoim stosunkiem do świata kobiecego, w obopólnym interesie!...

Pragniemy z całej duszy, aby choć w małej części kwestyonaryusz nasz przyczynił się do rozjaśnienia u nas sprawy kobiecej w przyszłości i z głębi serca dziękujemy wszystkim

uczestniczkom, które tak licznie i ochotnie odpowiedziały na nasze wezwanie.

I.

„System wychowania kobiet i warunki, w jakich żyją, muszą powodować nieszczęścia.“

Słowa te niejednokrotnie przychodzą na myśl każdej pannie myślącej, pozbawionej możności dowolnego rozporządzania sobą, *zmuszonej zastosowywać się do okoliczności*, tamujących drogę do upragnionego celu! Jakżeż i ja, w tej narzuconej mi roli „dorosłej panny na wydaniu“ — jak bardzo czuję się nieszczęśliwą! Dlaczego „obcięto mi skrzydła, rwące się do lotu?“ Nie posiadać własnej woli, nie mieć przyznanych praw człowieka, jakimi się cieszy każdy, najmłodszy nawet mężczyzna, lecz być skazaną na bezczynność, wyczekiwanie tego, co jej los w darze przyniesie raczy... Czyż nie jest to nieszczęście?

Kilka ostatnich lat spędziłam w Paryżu, w klasztorze, na „dokończeniu edukacji.“ Układałam sobie, iż po powrocie do domu rodzicielskiego, nie będę spoczywała na laurach, lecz zużytkuję w jakikolwiek sposób nabyte wiadomości; a przede wszystkim, że wolno mi będzie kształcić się dalej w ulubionym kierunku historyczno-filozoficznym. Sądziłam, iż zapoznawszy się z rozwojem umysłowości ludzkiej, potrafię sformułować myśli, tłoczące się do mózgu, słowami wyrazić wezbrane uczucia. Tymczasem duszę mą i umysł skrepowano, wolę ukrócono, uczuciom narzucono kajdany szablonu, formuł i formulek. A jako stracha na wróble, przedstawiono mi widmo emancypacji i feminizmu! Co prawda oprócz zajęcia praktycznego w domu i bywania w świecie, znajduję sobie zawsze czas i na pracę umysłową, ale pokarm dla ducha czerpię dorywczo, dzięki przypadkowi, który pozwoli mi ujrzeć głębinę ducha ludzkiego, lub napawać się subtelniejszymi jego drgnieniami. Stworzyłam sobie świat idealny, lecz smutna rzeczywistość nie pozwala mi w marzenia me tchnąć iskry życia, nie mogę w czyn wprowadzić moich zamiarów. Czuję się nieszczęśliwą, jak więzień w kajdanach, biczem smagany co chwila. Nie mogę zużytkować świeżości sił w pracy dla idei, ponieważ rażą „le bacau monde“ i otoczenie moje czuje niechęć do niepojętych dla siebie uskrzydlenia mej duszy. Czyżby to sybarytyzm materialny odbierał im możliwość odczuwania i rozumienia mowy subtelnej ducha? Czyż dlatego wolą pozostać na nizinach, że droga na szczyty zbyt uciążliwa?

Nie więc dziwnego, że bale, rauty, wieczory, o których dawniej marzyłam, jak o tajemniczej czarze upojenia, pozostawiły tylko gorzki w moim sercu. Przyznać muszę nawet, iż dotąd jeszcze nie przyzwyczaiłam się do naszych stosunków towarzyskich. Jako 18-letnia „panna dorosła“ należąca do t. zw. „la bonne société“, bywam w świecie, przyglądam się ludziom, nadewszystko młodzieży i pannom, analizuję ich trochę i... coraz więcej się rozczarowuję. Nietylko brak wyższej kultury duchowej, ale zupełna pustka umysłowa, brak rozumnych podstaw etycznych, wszystko powierzchowne i obliczone na efekt.

Wracałam do kraju stęskniona, idealizując sobie wszystkich i wszystko, dlatego rozczarowanie tem dotkliwsze było! Jakże duszną wydała mi się atmosfera naszych salonów, gdzie jak najgłębiej ukryć trzeba pod osłonką szablonu wszelką swą indywidualność, gdzie bezmyślny, srebrzysty śmieszek, spojrzania powłóczyście, dla wprawy udzielane każdemu danserowi, muszą zastępować poważniejszą rozmowę, która byłaby dla mnie prawdziwą uczcią. Niema w salonach naszych swobody, szczerości w obejściu, wszystko skrepowane, „guindé“, a przytem rubaszne i rażące w niesmacznym flircie. Dosyć jest

obserwować panny nasze, jak się śmieją, jak często wykonywują rozmaite „saltomortale“ rękoma, głową, całym ciałem nawet, by dojść do wniosku, iż ten szablon jest modnym, i interesuje młodzież. Zabawne są też zwierzenia kuzynków, o których wspominając, nie popełniam niedyskrecyi, bo oni sami wcale tego nie ukrywają, mówiąc: „lubie tańczyć z panną X., bo kokietuje na potęgę, a z panną Y. bo: *elle est piquante!*“ Młodzież bawi się dobrze wtedy, gdy może bezmyślnie suwać nogami, obserwować wdzięczące się do nich panny i uszczęśliwiać je w zamian półśmieszkami. I to ma się nazywać zabawą?...

Im więcej bywam, tem bardziej się zrażam do t. zw. „towarzystwa“ i sposobu ich zabawy. Nie wiem, czyja tu wina: panien czy młodzieży? Czyżby to panny, chcąc się przypodobać mężkiej połowie, naginając się do ich wymagań i upodobań, stawały się bezmyślnymi bawidelkami?...

Gdyby celem panny nie było jedynie „jak najprędsze wyjście za męża“, lecz miała i cele wyższe, ogólnoludzkie, gdyby je podniosła do wysokości ideałów, gdyby stała się kobietą-człowiekiem, a nie lalką, nie bawidelkiem, nie byłaby wówczas wyłącznie zależną od łaski mężczyzny; miałaby prawo stawiać mu wymagania (społeczne, etyczne i t. d.), a on, widząc, iż nie jest jej niezbędnym, musiałby się do nich przystosować. Nie więc dziwnego, że kiedy celem panny jest wyjście za męża, używa ona do tego odpowiednich środków. Stara się być taką, jaką ją ten mężczyzna w danej chwili widzieć pragnie, i w uśmieški, banalne słówka ubiera się — jak w suknie efektowne, które on podziwia...

Wszystko to jest wynikiem ograniczenia kobiet pod względem intelektualnym i dowodzi konieczności podniesienia ich skali umysłowej. Tylko, że kobieta nie lalka, kobieta-człowiek, mająca własne cele życia, zdolna do pracy produkcyjnej, byłaby prawdopodobnie zbyt niewygodną żoną dla naszych panów, więc mężczyźni widząc w tem wyłamaniu się kobiety z pod ich władzy, zagrożone swoje stanowisko wyłącznego autorytetu, oburzają się na te... niedorzeczne dążności!

Ale dobrze zrozumiana emancypacja kobiet jest jedynym środkiem poprawienia naszych nieszczęsnych warunków. Czyż małżeństwo w naszym, niby cywilizowanym świecie, może nęcić pannę z rozbudzoną samowiedzą? Tak niewielu mężczyzn szuka w pannie duszy niezależnej, serca, zasad; jeżeli pragną czego, to chyba tylko — jej majątku. Są to przeważnie samoluby, przedwcześnie zblazowani życiem i użyciem, filistrzy, zera duchowe bez celów wyższych, bez ideałów. Jeżeli który się żeni, choć w późnym wieku, to jest przekonany, że on daje wszystko, bo traci swobodę, a panna... tylko zyskuje. Żaden z nich nie myśli, by stworzyć rodzinę po to, aby żonie dać szczęście i znaleźć je przy niej; by wychować dzieci na użytecznych członków społeczeństwa; nie chce w żonie odnaleźć połowy swej duszy, miłością się z nią połączyć. Zimne ich, wygasłe, bez zapachu serce, wstręt czuje do szczytnych uniesień, poprzestaje na poziomych uciechach i idzie drogą najmniejszego oporu. Czy pomyśli, że panna, z którą się żeni, ma duszę i serce, że pragnie miłości, pragnie go kochać całą potęgą swego czystego i idealnego uczucia, że oddaje mu wszystko, całą siebie mu poświęca; że wstępując na nowe tory niedoświadczona, niezblazowana, prawie że z trwogą, czy podola ciężkiemu zadaniu, a jednocześnie z olbrzymim pragnieniem poświęcenia, oczekuje w zamian od tego męża czulej i troskliwej opieki, przewodnictwa, niepodzielnych resztek miłości, które w najmłodszym nawet mężczyźnie nie są zbyt wielkie. Gdzież więc są te olbrzymie korzyści małżeństwa dla kobiety? Czy to, że wolno jej samej wyjść na

ulicę? Czy też, że wyczekuje kłopotów, trosk, przejść uciążliwych, które znosi z prawdziwym heroizmem? Szczęśliwą w małżeństwie nazwałaby się mogła wtedy jedynie, gdyby mąż był jej duchem bratnim, a nie wyzyskiwaczem. Wówczas to ona dom swój rajem uczynić potrafi, a dążąc do uszczęśliwienia swej rodziny, pomnoży sumę szczęścia w społeczeństwie.

Gdyby panny nie wychodziły za męża, *coûte que coûte*, ale oględniej, wtedy tylko, gdy ten mężczyzna będzie odpowiadał jej wymaganiom, musiałyby się zmienić te przykre i upokarzające dla kobiet stosunki. Ale do tego potrzeba, by pannie było wolno stawiać wymagania. Niech więc będzie przygotowana na to, by mężowi nie być jedynie gospodynią, lecz przyjacielem i żoną, duszą jego duszy, myślą jego myśli... Bo czyż dwoje ludzi, nierównego poziomu umysłowego, może się kiedy zrozumieć, czyż mogą być szczęśliwi?

Gdyby panny traktowały małżeństwo według rzeczywistej jego wartości, jako zadanie trudne i ciężkie, a nie uważały je za jedyny sposób odzyskania swobody ruchów, nie jako handel, który im byt i spokój zapewnia: wiedziałyby, że miłość szczerą i wzajemną, jest jedyną racjonalną zasadą związku dwojga ludzi, a nie... zbytecznym przesądem starych romantyków, jak to utrzymują niektórzy. Kobieta z rozwiniętym umysłem, wysubtelniona duchowo, podniesie mężczyzn i społeczeństwo zyska na wyższej kulturze. Wówczas to mężczyźni nauczą się cenić kobietę, a gdy mówić będą „kocham“, nie będzie to miało znaczenia „pożadam.“

Największy wpływ na panny wywierają naturalnie ich matki. Oby one więc poświęciły zechciały chęć zostania babkami jaknajprędzej i wskazywały córkom ogólniejsze cele w życiu; oby pozwoliły im mieć wolę własną; oby ich pragnienie wyższego wykształcenia nie uważały za nieszczęście; oby zrozumieć chciały, że kobieta jest nie tylko aniołem, żoną, królową balu, ale jest człowiekiem!

Gdy kobieta zrozumie ścisły związek między rozwojem swego umysłu, a pracą dla dobra ogólnego, gdy uczuje potrzebę służenia społeczeństwu, gdy dla idei żyć będzie, a przestanie myśleć wyłącznie o sobie, gdy wspomni o milionach, o ich potrzebach i pragnieniach, wówczas to znajdzie własne szczęście, znajdzie czas, osładzający jej dolę najcięższą, dźwignię w chwilach upadku, hamulec dla namiętności, bodziec do czynu. Ztamtąd czerpać się nauczy moc dla ducha i siłę wytrwania, wzleci na szczyty; stworzy sobie i innym świat rzeczywisty, równy pięknością światowi idealnemu — „rzeczywistość się pomału, w świat przemieni ideału!“

Oby te marzenia moje urzeczywistnić się mogły kiedy, to największe pragnienie mej duszy!

... Moją jedyną winą obecnie, mojem nieszczęściem jest to, że mam zbyt wiele namiętnych, niespełnionych marzeń, i one to stają się bólem strasznym — tęsknicą... i nie wolno mi nie uczynić dla ziszczenia tych najgorętszych pożądań mego ducha.

I nie ja jedna jestem taka nieszczęśliwa — ale są nas całe zastępy.

Od matek naszych różnimy się tem, że nie zadawałamy się już oderwanymi strzępkami wiedzy; my pragniemy mózg ogarnąć wszystkie, dostępne umysłowi ludzkiemu dziedziny, pojąć jedność i wielkość wszechświata, potężne porywy naszego ducha oddać w sposób realny. Pragniemy doskonalić, rozszerzać, wysubtelnić i potęgować nasze uczucia, pragniemy, by umysł nasz był wolnym od mgieł chaotycznych, jakie go teraz zaciemniają. Obyśmy nie potrzebowały powtarzać sobie: „Nam nie wolno myśleć, nam nie wolno kochać, nam jest nie wolno mieć marzenia senne...“ Oby nam wolno było mieć wolę własną, przez ro-

zum i wiedzę kierowaną, dążyć do celu upragnionego w pełni sił i świadomości; niech pozwolą nam się kształcić, niech nie przerażają się naszą samodzielnością. My nie pragniemy być „uspioną królową,” ani też kobietą Ruskinowską, jedynie aniołem domowego ogniska; my oprócz dzieci, chcemy kształcić ducha własnego i umysł, aby korzystać z praw i spełniać obowiązki człowieka!

Jeżeli w duszach naszych gorycz i zwątpienie sięją swe ziarna zdradliwe, jest to tylko wynik refleksji nad smutną rzeczywistością, tęsknoty za czemś lepszym, nie urzeczywistnionem jeszcze. Ale ta fala, która często mętami zalewa duszę, to marzycielstwo bezpłodne, te myśli chaotyczne, wszystko to drgnęło iskierką życia, nadzieja zastąpiła zwątpienie, a to dzięki kwestyjonaryszowi ogłoszonemu przez redakcję „Bluszczu.” Wszystkie nasze požądania, pragnienia najgorętsze, w tych kilku dadzą się wyrazić słowami: „Panna XX wieku chce być człowiekiem, mieć jego prawa, przywileje, jego obowiązki, wiedzę i moc, jego samodzielność i własną, wolną wolę!”

Ikaria.

Warszawa, d. 22 maja 1902 r.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Julia Terpiłowska.



PRYZSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Kanonik spojrział ku drzewom, obok których na grubej słomianej macie drzemał, wzdychając, piękny ponter Jura.

— Tu, Nemrod! — cmoknął na niego, a karny pies wnet podbiegł, i przeciągając się, spoglądał pytającym wzrokiem,

— Nemrod ma doskonałą tresurę — rzekł Kanonik, głaszcząc psa, w odpowiedzi Jurowi; — pana słucha, gościa wita, waruje, staje do bekasa i za cyranką w wodę idzie, a pan uważasz to za dostateczne — i nie pozwoliłbyś uczyć go chodzenia po sznurze, skakania przez obręcz i tańczenia na dwóch łapach.

Malwa zawtórzyła wesoło:

— A tak, tak! Co innego dobre wychowanie, co innego powierzchowna układność, poza i blaga.

— Właśnie — potwierdził Kanonik. — O to też idzie, aby ze zwyczajów i form towarzyskich zachować te tylko, które się wytworzyły z poszanowania godności własnej lub godności bliźniego, z poczucia estetycznego lub z jakiej naturalnej a nienagannej skłonności; bo wszystkie inne — to błazeństwo albo obłuda, które utrudniają życie i komplikują ludzkie stosunki. Co pan tam kreślisz, panie Jerzy?

— Kreślę plan Przystani — odpowiedział Jur, wskazując ołówkiem rysunek na arkuszu papieru. — Oto są sadyby nad zakrętem rzeki, a tu obok nich ogrody, a z tyłu stodołki i stajenki. Ale co my w tych stajenkach postawimy?

— Pomyśleli już o tem dobrzy ludzie — rzekł Kanonik. — Zygmunt Nabrzeski ofiaru-

je nam koniki i krówki, a pani Tomaszowa drób i trzodę chlewną. Zygmunt bardzo rad naszej Przystani.

Spojrział z uśmiechem na Malwę, która rozpromieniła się i pokraśniała.

Zabrali się do planów i kosztorysów, a wyglądali przy tej robocie, jak ludzie, którzy wygrali wielki los na loteryi, i obradują nad korzystną lokatą swoich kapitałów.

— Jakież będzie użytek z czynszowych pieniędzy? — spytał Jur.

— Pójdą częścią na książki i nauczyciela — odrzekł Kanonik, — bo przecież ani starszych, ani dzieci nie zostawimy w ciemnościach, częścią zaś na utrzymanie zarządcy osady.

— Jakto?

— Czyż myślisz, kochany panie Jerzy, że pozwolibyśmy ci zaniedbać swoje gospodarstwo, które ma być przecież wzorem dla innych?

— Dlaczego miałbym je zaniedbać?

— Dlatego, że nie mógłbyś dwóm naraz zajęciom wydolać. Będiesz teraz musiał donajmować sobie pomoc i zastępstwo przy pracy, — tem bardziej, że wypadnie ci nieraz wyjeżdżać na czas dłuższy z domu.

— Dokąd?... Po co?

— Osadnicy nasi prócz produkcji rolnej, będą się zajmować drobnym przemysłem. Kobiety naprzykład koronkarstwem, którego je panna Malwa nauczy, mężczyźni możesz pan wyuczyć tokarstwa, a ja tam czasem podczas nauki religii pokażę dzieciom, jak się koszyki wyplata. Jadłem z tego chleb nad Angarą — i nie chwając się, byłem wcale niezłym koszykarzem. Otóż tym wytworom rękodzielniczym, jako też i ziemiopłodom, które nie będą się ograniczały na zbożu, lecz wejdą w zakres udoskonalonego sadownictwa i ogrodnictwa, — trzeba będzie zapewniać korzystny zbytni, zawierać potrzebne stosunki, zapoznawać się z pożytecznymi ulepszeniami, — a to wszystko będzie zadaniem zarządzającego i kierownika naszej Przystani.

— Postaram się załatwić to własnym kosztem.

— W takim razie po pierwsze interesa będą źle załatwiane, bo nie może ci starczyć na kosztą podróży i pobytu w mieście, po drugie albo Przystań będzie niedbale doglądana, albo Zagroda podupadnie, bo nikt niema możliwości podwojenia swoich sił i swego czasu; a to wszystko tylko dlatego, że albo przez pychę nie chcesz przyjąć nawet nie wynagrodzenia, ale wprost odszkodowania, — albo też przez donkiszoteryę, chcesz się porywać na rzeczy możność przechodzące. Przyznaj, kochany panie Jerzy, że uniosłeś się wspaniałomyślnością nierozmyślną, któraby tylko zamiary nasze popsuła?

— Przyznaję, cóż mam robić? niech będzie po waszemu, jeśli inaczej nie można.

Kanonik wtedy wydobył pugilares i doręczył Jurowi gotową już dla niego plenipotentcyę i pięć tysięcy rubli w przekazach.

— A pani — rzekł do Malwy, podając jej zarysowany arkusz papieru, — niech weźmie te plany i przerobi je na czysto; dobrze?

— Pewnie, że dobrze! — zawołała. — A czy dla mnie też będzie jakieś stałe i określone zajęcie?

— Pani w tem, jak dotąd we wszystkim,

będiesz prawą ręką brata; to przecież spora częśćka pracy i zasługi.

— A co będę robiła, jeżeli kiedyś da Pan Bóg, że mój brat może mieć będzie inną prawą rękę?

— Kiedyś — i może — to i niepewne, i dalekie. Tymczasem bierz pani, co dają, a później Pan Bóg opatrzy. Kiedyś — może i pani zostaniesz prawą ręką kogoś innego, a wtedy otworzą się dla ciebie inne pola działalności: ludziom chętnym do czynu i ofiary sposobność po temu znajdzie się zawsze. No, pokaż mi pani swoje arcydzieło: jak tam Joanna prosperuje?

Malwa odkryła krosna, Kanonik przyjrzał się, pochwalił i szepnął dziewczynie na ucho:

— Większe jest miłosierdzie Bożkie, niż zatwardziałość ludzka: nie tracę nadziei, że przed tym obrazem dam kiedyś dwa śluby...

Przeprowadziwszy Kanonika do połowy drogi, Jur z Malwą wracali do domu o późnym już zmroku, gdy smugi wieczornych cieni z kłębamii mgły jesiennej na przemiany rozsnuwały się dołem, a górą czystym, migotliwym blaskiem jedna po drugiej zapalały się gwiazdy. Wśród ciszy sennych łąnów brat i siostra szli obok siebie w skupionem milczeniu, ona pogodna, jak zawsze, on rozpodziony, jak nigdy.

— Wiesz, Malwo — odezwał się, — co myślisz? że może dziś właśnie natrafiliśmy na punkt środkowy, w około którego będzie krążyć nasze życie?

— Może... — odpowiedziała z lekkim odcieniem smutku w głosie.

— I zdaje mi się, że to moja egzystencyę uczyni możliwą i znośną, chociaż nie osiągnę tego, coby mi dało osobiste szczęście. A ty co myślisz?

— Ja — odrzekła z pewnem wahaniem, — będę teraz cierpliwiej czekała na szczęście — i łatwiej zniosę, jeżeli nie przyjdzie.

— Klara z pewnością powie, że mniejsza o nasze własne szczęście, jeśli tylko ludziom do szczęścia dopomożemy.

— Z pewnością...

— Więc i ja powiem to samo: mniejsza o nas — ale nasza Przystań niech wzrasta, kwitnie i owoc przynosi! — zawołał z niebywałem u niego ożywieniem.

— Daj Boże... — przywótrożyła, tłumiąc westchnienie skrytej rezygnacyi. — Ach, patrz! widzisz? to wróżba spełnienia życzeń...

Wykrzyknik ten odnosił się do świetlanego zjawiska, które nagle zabłysło przed nimi. Spadająca gwiazda, wielka, piękna, jasna, przesunęła się po nieboskłonie — i znikła w tej właśnie stronie, gdzie był zakręt rzeki zwany Przystanią.

W parę tygodni potem, pewnego pogodnego dnia pani Mimi pojechała na spacer w stronę Obrywina. W przeddzień, widząc się z Wieloleckim, rzuciła od niechcienia w rozmowie, że przyszedł jej kaprys popatrzenia na tak jej miły Obrywiński pałacyk — więc jutro przejdzie się w tamtą stronę i koło szóstej ze wzgórza za parkiem będzie przyglądać się białej kolumnadzie, oświetlonej zachodzącym słońcem. I oto o oznaczonej porze zachodzące słońce według programu

oświecało kolumny, powóz pani Mimi sunął zwolna wzdłuż parku, a ona sama w wywiniętym rembrandtowskim kapeluszu z rajskim ptakiem, co chwila podnosiła do oczu binokle na szyldkretowej rączce. Ale nie efekty świetlane obserwowała, tylko drogę wiodącą przez pola od Grubershofu—i w każdym punkcie czerniejącym zdala domyślała się to pieszego pielgrzyma, spieszącego skwapliwie ni- by do świętego miejsca, to konnego rycerza, pędzącego na spotkanie damy swoich myśli.

A tymczasem pan Wielolecki, zajęty pakowaniem, owijał własnoręcznie w miękką bibułkę porcelanowe tancerki i boginie — i ani myślał o oglądaniu rembrandtowskich światłocieni na okrągłej twarzączce, zaróżowionej luną zachodzącego słońca.

Kwaśna, jak ocet tualetowy, wróciła pani Mimi ze spaceru, dostała migreny—i leżąc na szezlagu w blado-liliowym szlafrocuku, spędzała zły humor na pannie Florentynie, która podsuwała jej flakoniki i starała się zaba- wić nowinkami.

— Nic mi nie mówiła panna Florentyna— rzekła zbolalym głosem piękna pani,— że na tej posiadłości, którą Kanonik nabył od hrabiego Wieloleckiego, ma stanąć jakaś kolonia? Jędrzej mi pokazywał, przejeżdżając, budują- ce się chałupy.

— Nie zdawało mi się—odpowiedziała pan- na Florentyna,— aby to mogło zainteresować panią hrabinę.

Pani Mimi kazała się w domu tytułować hrabiną, utrzymując, że nazwisko Nabrzeskich może dobrze znosić ten dodatek, jako dostatecznie znane i poważane. Teś tłómaczył jej wprawdzie, że właśnie dlatego dodatków nie potrzebuje, ale naturalnie nie trafiało to do jej przekonania.

— Nie zdawało się pannie Florentynie! — zzymnęła się niecierpliwie.— Niby panna Flo- rentyna nie wie, że przy tutejszych nudach muszę się byle czem interesować?

— Ale są rzeczy, które staram się właśnie odsuwać od wiadomości pani hrabiny... Pani hrabina wie, jak dbam o to, aby jej oszczędzić najmniejszej nieprzyjemności.

— Panna Florentyna mówi dziś nie do sen- su: jakąż mnie to mogłoby zrobić nieprzyje- mność?

— Może być, że się niestosownie wyrazi- lam, przyznaję. Ale wolę nic nie mówić, niż zalterować panią hrabinę...

— Ale cóż to znaczy? Już ja widzę, że panna Florentyna coś wie! Cóż to może być takiego?

Panna Florentyna rzeczywiście coś wiedzia- ła już od paru tygodni, nie chciała jednak pobudzać złych humorów w porze, w której zwykle dostawała w prezencie nowe jesienne okrycie. Ale dziś właśnie, w chwili wyjazdu na spacer, pani Mimi, zadowolona ze swego rembrandta i spodziewanej przyjemności, po- darowała jej swój piękny zeszlóroczny żakiet; teraz więc panna Florentyna mogła już sobie pozwolić na przyjemność zalterowania swojej kapryśnej chlebobawczyni.

Zasznurowała tedy usta, kryjąc złośliwy uśmiezek, i bąkała zakłopotana:

— Kiedy doprawdy sama nie wiem...

— Panna Florentyna powinna raz na zaw-

sze wiedzieć, że ja lubię być *au courant* wszystkiego!

— Skoro pani hrabina koniecznie tego so- bie życzy...

— Ach! tylko bez tych wstępów, bo to mię nudzi i denerwuje.

Wtedy panna Florentyna otworzyła upu- sty swojej wymowy—i opowiedziała, jako wie z dobrego źródła, bo przez Joasię z gardero- by, która umiała wszędzie się wkręcić i wszyst- ko nawet przez zamknięte drzwi słyszeć, że ową posiadłość pana Wieloleckiego Kanonik fikcyjnie tylko nabył, przyjmując na siebie w oczach opinii dziwactwo rzeczywistego na- bywcy. Nabywcą zaś jest pan Tomasz Na- brzeski, który na takich doskonałych grun- tach, w takim ładnym położeniu, zakłada ja- kąś kolokację włóczęgów i żebraków!

— Stary maniak! — syknęła pani Mimi.— I co też taka fantazyja może kosztować?

— Podobno pięćdziesiąt tysięcy... Akurat ta sama suma, której tak brutalnie odmówio- no pani hrabinie...— rzuciła z kondolencyj- nem westchnieniem powiernica.

— To nie może być. Przecież mój teś odmówił mi tylko dlatego, że chce— jak po- wiedział— kapitały swoje zachować w całości dla Musia?

— Może nie tylko dlatego... Kto wie, co miał na myśli?... A pan Zygmunt musi być bardzo zadowolony z takiej lokaty kapitału, bo i sam wystąpił z ofiarą na ów przytułek.

— Z jaką ofiarą?

— Joasia słyszała przypadkiem, jak obie- cywał podarować każdemu z owych przybłę- dów konie w angielskich szorach i resorowy faetonik.

— Okropność!... — zawołała pani Mimi, ła- miąc ręce.— Zamiast o mnie pomyśleć, ruj- nują się na waryackie koncepta!... Że stary jest maniakiem, to wiadomo; ale żeby Muś także!... Jak oni go opanowali! jak zbunto- wali!... Nie, to zawiele, niech mam chociaż tyle pociechy, że powiem staremu dziwołogo- wi, co o nim myślę!...

Zerwała się z szezlagu i szybko rozpiłała szlafroczek.

— Panno Florentyno, proszę zadzwonić na pannę służącą, niech mi suknię poda! Prędzej! prędzej! — powtarzała niecierpliwie.

— Niech się pani hrabina nie alteruje! — uspakajała panna Florentyna, naciskając gu- zik od dzwonka, — to na głowę niedobrze, i na cerę.

— A pewnie! już czuję wypieki... Proszę mi podać puszkę z pudrem. Doprawdy, że w takich warunkach życia można stracić nie tylko zdrowie, ale nawet urodę...

Ubrała się, poprawiła włosy, i poszła przez długie kurytarze ku apartamentom państwa Nabrzeskich.

Pani Tomaszowa była na folwarku przy ja- kiejs gospodarskiej sprawie, pan Tomasz sie- dział sam w bawialni, palił fajkę, kładł pa- syansa i mocno sapał. Na śniadanie zjadł był sporo bigosu, a teraz czuł się niezdrów, miał kongestję i był w złym humorze.

Wskazawszy fotel synowej, spojrział na nią pytająco; nie spodziewał się dzisiaj jej odwied- zin.

— Ojciec, jak widzę, zdziwiony moją wi-

zytą? — rzekła pani Mimi, przysiadając na fotelu z lekkim westchnieniem.

— Miło mi zawsze widzieć cię u siebie, kochana Maryniu,— odpowiedział pan Tomasz, składając karty;— ale domyślam się, że mu- sisz mieć jakiś interes?

— Właściwie nie jest to interes; chciałam tylko powiedzieć ojcu, że się dowiedziała pewnej rzeczy, która mię boleśnie dotknęła...

— Cóż to takiego?

— Ojciec podobno kupił posiadłość Wielo- leckiego — i ma na niej zakładać jakiś przy- tułek, czy coś podobnego?

— Tak, nabyłem te grunta do spółki z Ka- nonikiem. Ale odstepujemy od materyi, bo miałaś mówić o czemś, co cię dotknęło?

— To właśnie! Wszak ojciec powiedział mi niedawno, że nie może uszczuplać przy- szłego dziedzictwa Musia, a tymczasem...

— Zygmunt będzie miał bardzo dósyć, a to, com zrobił, nie tylko aprobuje, ale się tem bardzo cieszy.

— Tak?... mój syn cieszy się z wydziedi- czenia swojej matki?

— Jakie znów wydziedziczenie? przecież synowe po teściach nie dziedziczą!

— Nie znam się na prawach cywilnych — ale wiem, że prawo moralne nakazuje pier- wej myśleć o zabezpieczeniu bytu osób bliz- kich, niż obcych przybłędów!

— Alboż twój byt nie jest zabezpieczony? Wszak w Nabrzeszanach jesteś panią, a gdy- byś zechciała zamieszkać w mieście, toby ci także na niczem nie zbywało,— o tem wszak cię zapewniłem?

— A tak! obiecując mi jakąś pensyjkę, gdy kapitały wyrzucą się przez okno!

— Moja Maryniu, dziwi mię bardzo, że ko- bieta w twoim wieku jeszcze nie rozumie, ja- ka jest różnica między wyrzucaniem pienięd- zy za okno, a ofiarnością na cele społeczne.

Pani Mimi już mocno rozdrażniona, na wzmiankę o wieku straciła do reszty pano- wanie nad sobą.

— Widocznie mój wiek nie jest jeszcze z dość dawnego czasu — rzekła ostro,— abym mogła sympatyzować ze średniowieczną don- kiszoteryą!

— Mówisz w sposób niewłaściwy dla oso- by dobrze wychowanej — odparł pan Tomasz surowo;— mogłabyś chociaż formy zachowy- wać, jeśli nie jesteś zdolną pojąć treści!

Pod warstwą pudru pani Mimi zbladła.

— Jestem aż nadto zdolną pojąć— zawoła- ła,— że mój spokój i moja przyszłość nikogo tutaj nie obchodzą.

Zerwała się z miejsca — i podniecając się coraz bardziej, mówiła bardzo prędko, drżą- cemi z gniewu ustami:

— Ja dla was zapomniałam o sobie, po- święciłam wam całą moją... to jest znaczną część mojej młodości, naginałam się do wa- szych fantazyi, byłam niewolnicą waszych dziwactw,— a wy za to wszystko odwzięczy- liście mi się, odwracając ode mnie serce me- go syna, wpajając w niego pojęcia moim przeciwnie,— i nakoniec odmawiacie mi zape- wnienia znośnej egzystencji nawet teraz, kie- dy pozycja moja, w moim własnym domu, stała się nieznośną z powodu zbuntowanego syna, i tych, którzy go przeciw mnie buntu- ją!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Słoneczna legenda.



«Miłość ma swoją słoneczną legendę,
Co wspomnień zerwać nie daje łańcucha.»

Asnyk: «Sen grobów.»

Pamiętam owych dni korowód cichy,
Jak pomyslane, lecz niegrane pieśni,
Rozwijam zwolna niezwiędłe kielichy
Wspomnień i pytam, zali duch mój nie śni?
Oto są wszystkie — tęczowym obrazem
Mienią się — słodkie i żalosne razem.

Widzę je wszystkie, — każdy dzień i chwilę
Jedną po drugiej, jako kwiaty w wianku.
Więc dzisiaj, kiedy me okno rozchylił,
By pieścić czoło blaskami poranku,
Żalością wita mię niebo bez skazy,
Bom patrzył na nie z Tobą; — tyle razy!

Wtedyśmy śnili o mniej barwnym świecie,
Coby nam szczęścia otworzył podwoje,
Pragnęli pieśnią wyobłoczyć życie,
Sercem tręcali o pradziadów zbroję,
I, myślą lotnie strzelając, a górnice
Szli, aż na ducha niebosiężne turnie.

A z góry patrzył Febus złotowłosy,
I uśmiechały się obłoki mleczne,
Jakby nas w kraje wabiły słoneczne,
I staw pod nogi nam rzucał niebiosy,
W lasów i piasku wzorzystej oprawie,
Pod słońcem mieniąc się, jak oko pawie.

Tak w słońca blasku szliśmy zamyśleni...
I tylko czasem przelotne ust drżenie
W oczach nam dziwne nieciło płomienie;
A myśmy, jakby tym blaskiem spłoszeni
Spuszczali oczy na sennie ugory
I dalej wiedli ciche rozhowory?

Znów między nami, niby strzały złote
Biegły te wszystkie słowa wielkie, święte,
Oprócz jednego... To — w sercu zakłete,
Było, jak w klatce ptak, co ma tęsknotę
Za towarzyszkę, i skrzydła mdlejące
Tłucze o kratę i rwie się na słońce.

I dobrze było nam iść tak i luto,
Z tą wpół rozkwitłą, a już wonną różą,
Z tą rozspiewaną, a milczącą nutą.
Aż nuta pieśnią wykwitła, i burza
Zabrzmiała groźna, jak przepaść echowa,
I jękiem w piersi ugrzęzła...

— „Bądź zdrowa!”

To było wczoraj.

Dzisiaj duch się trudzi,
Ocieram czoło troską użnojonę.
Wśród prac codziennych i powszednich ludzi
Idę, wciąż w jedną zapatrzony stronę,
W kraj, majaczący zdala nicią srebrną.
Drżą stopy moje... „Przebrną, czy nie prze-
[brną?”

Miles.



PRZYCZYNY I SKUTKI.



VI.

Zcieranie się choćby wręcz przeciwnych zapatrywań w danej kwestyi, przyczynia się niewątpliwie przez możność porównań i wyciąganie ztąd własnych wniosków, do rozświetlenia i gruntownego poznania tejże.

Dlatego, jakkolwiek w zapatrywaniach autorów dwóch rozpraw z dziedziny wychowania p. n. „Sentymentalizm w wychowaniu“ przez X. (n-ra 26, 27 i 28 „Bluszczu“ i „Nasze dzieci“ Henryka Rygiera nr 28) znajdują się poważne różnice, niejedną z inteligentnych matek po przeczytaniu artykułów powyższych, pobudzi to do głębszej refleksyi i wytworzenia z pomocą osobistych obserwacji indywidualnego sądu.

Wszak najgłówniejszym motorem dla matki, motorem, który całą jej pracą wychowawczą kieruje, jest nieustanne badanie natury i własności psychicznych swych dzieci. Matki więc tylko, rozumne matki najlepiej mogą ocenić, który z danych systemów byłby właściwszy w zastosowaniu do natury ich dzieci, którego zatem trzymać się należy, by w wychowaniu osiągnąć możliwie doskonałe rezultaty.

Punktem spornym wymienionych autorów jest pojęcie i rozmiary *wolności*, jaką powinniśmy dać dziecku, by nie tylko nie krępować w niem indywidualności i pierwiastków woli, lecz owszem, współdziałać z jego naturą w kierunku jak najszerszego rozwoju tychże.

Oto, co autor artykułu „Nasze dzieci,“ uważa za nieodzowne dla osiągnięcia tych ważnych celów: „Jeżeli — mówi on, — sami wiecznie pytamy: „Dlaczego?“ — czyż możemy odebrać to prawo dziecku? Nie zabijajmy pierwszej iskry jego myśli i zawsze tłumaczmy dziecku, *dlaczego* tak ma postąpić, a nie inaczej: niechaj rozkazy nasze nie będą świętymi dlań przez poparcie ich naszą przewagą fizyczną, ale rozumowo starajmy się je wytłumaczyć.“

Przechodząc od wyrozumowanego posłuszeństwa do systematycznego nauczania, autor mówi między innymi: „Pamiętajmy, że wszelkiego rodzaju *przymus*, zabijanie samodzielności, zabranianie podczas lekcji wesołości i śmiechu, robi z nauki najcięższe kajdany, zabijające wszelki dalszy rozwój.“

Inaczej cokolwiek zapatruje się na kwestję *wolności* dziecka autor artykułu: „Sentymentalizm w wychowaniu.“

Zgadza się z p. R. co do ważności kształcenia w dziecku woli, samodzielności, odrębności indywidualnej, radzi jednakże dążyć do tego celu, niekiedy wprost przeciwną drogą.

Gdy p. R. wszelki przymus uważa, jako zamach na przyszłą samodzielność, autor „Sentymentalizmu w wychowaniu,“ *przymus* fizyczny pod postacią odmawiania ciała rozpieszczających je wygód i *przymus* moralny w postaci nierozumowanego do pewnego wieku posłuszeństwa, przewycięzania przeszkód, znoszenia przeciwności, podnosi do znaczenia pierwszorzędnego w wychowaniu czynnika. Nawet system nauczania, — zdaniem tego au-

tora — nie powinien zasadzać się na bezwzględne usuwanie wszelkich trudności, gdyż tym sposobem najpewniej zabijamy samodzielność umysłową, a sprzyjamy rozwojowi automatyzmu.

„Obecnie — mówi p. X. — chcemy wciąż uczyć, bawiąc i ucząc, bawić — słowem, dwie te dziedziny: nauka i zabawa, tak napozór różne, łączą się z sobą w dzisiejszem kształceniu. A przecież nabywanie wiedzy w zwykłych warunkach, wymaga wielkiej nieraz pracy, wytrwałości w pokonywaniu przeszkód i t. d. W dzisiejszym jednakże kierunku, panuje wszechwładnie strach przed każdym wysiłkiem, zarówno moralnym, jak i umysłowym, oraz automatyzm, uświęcający zupełną duchową bierność; nauka ma być zastrzykiwaną wszystkimi porami mózgowemi, bez żadnego w tem udziału woli ze strony jednostki, pobierającej wykształcenie. Zasada p. R. dania dziecku jak najszerszej swobody, jest dziś ogólnie wyznawaną, nawet przez takie powagi, jak William Cobbet, Gausseron...“

Dewiza jej, wyryta na sztandarze systemu wychowawczego, brzmi cudownie: W imię praw dziecka! Czy jednak machina zwana rzeczywistością, dostawszy w swe tryby sztandarów wraz z hasłem, nie poszarpie go na strzępy?

Przypatrzmy się np. bliżej, jak wygląda w zetknięciu z rzeczywistością, świetna w teorii zasada, tłumaczenia dziecku każdego wyrazu *rozumowo*.

Oto wchodzimy do domu pełnego błogosławieństwa Pana, jak pięknie mawiali ojcowie nasi, pod postacią kilkunastu jasno, ciemno, czarnowłosych główek.

Śniadanie tylko co skończone i matka tej gromadki obmyśliła zawczasu zatrudnienie każdemu, więc teraz zabiera głos. Józio i Jaś pójdą do szkoły, Magdzia, Kasia i Zosia będą pracowały w ogrodzie, Marylka zostanie w pokoju etc., etc.

Dziewucha słyszy rozkazy, chce jednak wiedzieć przyczyny, pobudki, cel... Otoczywszy więc kołem swą rodzicielkę, zarzuca ją gradem pytań. Dlaczego? dlaczego? dlaczego? krzyżuje się na wszystkie strony.

Zaczyna się tedy tłumaczenie.

Jasiowi i Józiovi opowiada matka o pożytkach nauki; trzem dziewczynkom, że praca fizyczna wzmocni ich wątły organizm, Marylce, że zakatarzona, a na dworze wiatr ostry i t. p.

Lecz cóż będzie, jeśli dzieci przy swem naturalnem krótkowidztwie, nie zechcą uznać tych przyczyn za dostatecznie ważne?

Marylka zauważy, iż nieraz widziała zakatarzone dzieci biegające po dworze i nie im się nie stało; chłopcy zaczną dowodzić, że lokaj państwa X. czytać nie umie, a doskonale mu się powodzi...

Ha, trudno! Trzeba brnąć z tłumaczenia w tłumaczenie, skoro się zaczęło.

Nie! Stokroć pożyteczniejsze dla tych dzieci będzie wpojone im przeświadczenie, że rodzice kochają ich mocno i dla nich tylko żyją, że więc każdy rozkaz ma na celu ich dobro, a choć dziecko nie zawsze to rozumie, do czasu *musi* spełnić, co ma poleczone, bo to jego *powinność*.

Prawa dziecka wymagają również, abyśmy

mu nie narzucali swej woli, budząc natomiast jego własną. Druga niemniej świetna zasada w teorii! Obaczmy jednak i to na przykładzie, podanym przez jej wyznawcę W. Cobbeta („Wychowanie dziecka“ według Gausserona, w opracowaniu Michałowskiego, str. 141, 142), jak daleko zaprowadzićby nas mogło w danym razie, ściśle jej zastosowanie.

William Cobbet pisze w jednym z dzieł swoich: „Uważałem zawsze przyzwyczajanie do wczesnego wstawania, jako rzecz *bardzo ważną*, zarówno ze względów higienicznych, jak i umysłowych. Przyzwyczajanie to, wpływa na zdrowie niezwykle zbawiennie. Zdarzyło mi się pewnego razu, iż oddano pod mą opiekę kilkoro dzieci, przyzwyczajonych spać długo. Postanowiłem to zmienić; nie była to sprawa łatwa, tem bardziej, że wychowańcom moim, nigdy nic nie nakazywałem. Pierwszego czy drugiego dnia, któreś z dzieci wstało wcześniej przypadkowo. Nazwałem je „skowronkiem“ i w ciągu dnia, wyświadczyłem mu kilka drobnych przyjemności, jak np. posadziłem je obok siebie przy obiedzie, co było pewnego rodzaju odznaczeniem, i na spacerze głównie się niem zajmowałem. Inne dzieci spostrzegły wkrótce, iż „skowronek“ zyskał pewne przywileje. Następnego dnia już było więcej kandydatów na „skowronków“, a we dwa tygodnie później, wszyscy moi wychowańcy szli spać bardzo wcześnie, a wstawali prawie ze świtem!“

Istotnie czarodziejem być trzeba, aby przy tak prostych środkach, uzyskać tak ważne zdobycze. Lecz posłuchajmy, co na zakończenie tej kwestyi mówi autor książki, o której wyżej: „Wyborny przykład systemu wychowawczego bez zniewalania! Gdyby które z dzieci wychowywanych przez Cobbeta nie chciało wstawać wcześniej, na pewno ani by wydał w tym celu nakazu, ani tembardziej nie pomyślał o karze. Wolność dziecka — jego zdaniem — szanowaną być winna, bodaj do przesady!“

Przypuśćmy na chwilę, że stało się tak właśnie; jednemu z dzieci tytuł „skowronka“ i drobne przywileje nie zaimponowały, czy też odporność woli nie sięgała aż do przewyciężenia nałogu, dość, że chłopiec ów, po opuszczeniu przez towarzyszków sypialni, otulał się kołdrą i zasypiał w najlepsze. Hmm! Smacznego snu! Niechże spi do południa! Nikt przecież woli jego krępować nie będzie: „Wolność dziecka szanowaną być winna bodaj do przesady!“

Nie od rzeczy chyba jednak będzie, najbliższe i najdalsze konsekwencye tej złotej wolności przytoczyć, tem bardziej, że wolno nam w tym razie puścić wodze szerokim przewidywaniom. Otóż można na pewno się spodziewać, że przykład kolegi oddziała na inne dzieci ujemnie. Aureola, która takiego czarodzieja-wychowawcę otacza, w oczach ich przygaśnie z tej przyczyny.

To już złe dostateczne!

A teraz co do samego chłopca: Rozleniwienie, pewność, że złemu nałogowi w ogóle dogadzać wolno, wyrze bynajmniej niepożądanym wpływ na zdrowie ciała, umysłu i duszy. Dorósłszy, będzie dawał zły przykład dzieciom i domownikom, jego ospałość zrujnuje

jego interesa, słowem bankructwo moralne, fizyczne i umysłowe.

Wychowawcy nie będzie wolno powiedzieć sobie na pociechę: Niech ginie jednostka, niech zwycięża zasada! Eksperyment, który udał się z kilku chłopcami, widocznie umiejacymi już poprzednio rozkazywać sobie, mógłby zawieść z innymi, których sztuki tej nie nauczono.

Byłoby więc zabijaniem samodzielności: skłonić np. oporne dzieci drogą nacisku na ich wolę, do poddania się obowiązującej w ich otoczeniu regule, skoro suggęstya, własny nasz i towarzyszków przykład, okazały się niedostatecznymi?

Nikt przecież nie zaprzeczy niezmiernej wyższości człowieka, który własnych tylko rozkazów jest niewolnikiem, nad tym, który spełnia te same rozkazy z *musu*, przez nacisk *cudzej*, nie *własnej* woli. Pierwszy — to władca! Drugi — *niewolnik*! Jakimż półbogiem, mocarzem jest tytan woli we wspaniałych „Snach o potędze“ L. Staffa. Gdy olbrzym ten duchowy mówi spokojnie o strasznych walkach, ryku szalejącego oceanu, wyciu burzy, starciu się ślepych żywiołów, stosując to do stanu własnej duszy, które on ujarzmił, spętał i rzucił pod stopy potęgą woli, dreszcz zachwyty wstrząsa duszą czytelnika, budząc w niej echa „Snów o potędze.“

Zciągnąwszy tego olbrzyma z wyżyn poezyi na ziemię i dotknąwszy skalpelem analizy psychologicznej, dojdziemy do przekonania, iż tylko wspaniała dewiza: „Twój pan, to ty sam,“ dała mu siłę.

Lecz człowiek ten „dzieckiem w kolebce łeb dusił hydrze“ i na świat przyniósł z sobą zadatek potęgi, bo zrodzon być musiał również z tytanów ducha.

Do niego więc zastosujmy od kolebki duchową miarę Fidyasza, będącą tryumfem, niestety, zawczesnym dzisiejszej pedagogii. Lecz do duchowych pigmejów miara ta w żaden sposób przystosować się nie da: zarówno wychowawcy, jak wychowańcy nie dorosli do niej.

Aby wychowawca mógł bezkarnie i skutecznie stosować zasadę budzenia i wzmacniania tylko woli dziecka przez rozumną wolność, musiałby być człowiekiem, jak dyament czystym, jak granit nieugiętym.

Dziecko od kolebki musiałoby pozostawać w jego rękach, usunięte od wszelkich wpływów. A i wtedy jeszcze miałby on ciężką pracę, walcząc ze zwierzęcymi instynktami natury ludzkiej i z dziedzicznością.

Lecz na tym stopniu rozwoju moralnego, na jakim dziś znaczna większość ludzkości się znajduje, odrzucenie wszelkiego przymusu w wychowaniu, byłoby wetknięciem miecza w rękę szalonemu.

Gdyby ludzkość pewnego pięknego poranku obudzić się mogła odrodzona, gdyby pękła i rozpadła się gruba skorupa pychy, fałszu, egoizmu, próżności, chęci używania, co obróśli ducha, zgmiotła go i pograżyła w ciemnościach, a ten wyswobodzony, zajaśniał boskim swym blaskiem, wówczas jedynie zasada wychowawcza *budzenia i wzmacniania tylko woli dziecka zamiast narzucania mu naszej*, będzie słusznie ideałem wychowawcy, jako

bezsprzecznie najlepsza ze znanych dotychczas.

Wszak np. nikt nie zaprzeczy, że obecne życie rodzinne ze względu na wymagania światowe, rozluźnienie życiowe pojęć etycznych i wiele innych przyczyn opiera się na *kłamstwie*.

Kłamiemy wobec dzieci nieustannie, na każdym kroku, jak słusznie zaznacza p. Iza Moszczeńska w odczycie „O reformie w wychowaniu.“

Czyż to jedno nie jest aż nadto dostatecznym, aby wolę dziecka, kształtowaną w tych warunkach skrzywić, spaczyć, przeobrazić w samowolę?

Zbiorowa wola ludzka wyteżona dziś, wyprężona, napięta, jak struna aż do pęknięcia w jednym kierunku: złota, złota, złota! jak najwięcej, bo za nie użyć można do syta, do przesyty uciech zmysłowych, utonąć w dobrobycie z duszą i ciałem!

Naturalnem tego następstwem, że i wola małej jednostki społecznej w tym samym kierunku rozwijać się będzie.

A więc, niech wychowanie surowe ujarzmi te zgubne popędy zawczasu. A ponieważ naturalne instynkty nasze są gorliwymi sprzymierzeńcami materii nie ducha, więc próżnem byłoby wymagać od słabej i niechętnej woli dziecka, aby współdziałało w tym razie z nami.

Przeciwnie, ono *opierać* się będzie. I dlatego to, *rozumny przymus* w wychowaniu, w interesie moralnego dobra przyszłego człowieka jest nieodzownie potrzebnym. On właśnie wyrobi *wolę*, bo wyrobi panowanie nad sobą. Stara maksyma: „Ten tylko będzie umiał rozkazywać, kto w swoim czasie umiał być ślepo posłusznym,“ nie utraciła dotąd swej żywotności.

Gdyby człowiek rodził się z ukształtowanym poznaniem, wtedy tylko możnaby system omawiany wolności dziecka bez szkody stosować.

W literaturze naszej posiadamy dwa biegunowo wychowaniem odmienne typy: Michał Strawiński („Listopad“ Henryka Rzewuskiego) i Płoszowski (w „Bez dogmatu“).

Zwolennicy okropnych teorii Nietzschego o „Dostojności ducha,“ nazwą niewątpliwie Strawińskiego „podłym niewolnikiem,“ Płoszowskiego darząc zaszczytną nazwą „duszy dostojnej.“

Lecz zdmuchnijmy z duchowego wizerunku Michała, lekki pył naleciałości epoki i pojęć ówczesnych, a powstanie przed nami wzniosły ideał człowieka „w duchu i prawdzie.“ Przymus w postaci idei chrześcijańskiej, nakazującej ujarzmić siebie i surowości rodzicielskiej, urobił i zahartował tę duszę „dostojną,“ dał jej wzniosłość, siłę kochania, pogardę uciech zmysłowych i słodką pogodę wobec śmierci.

Płoszowskiego, nikt w dzieciństwie nie zmusza do walki z sobą, ztąd stygnie on coraz więcej i gdy przychodzi mu pewnego pięknego poranku ochota zbadać, co też tam jeszcze w skrytkach duszy zostało, znajduje zimne popioły.

Młode matki! Ostrożnie z wolnością dziecka i z wyrozumowanym posłuszeństwem.

Pamiętajcie, że one muszą być wsparte bez-

granicznym szacunkiem, uwielbieniem ze strony dziecka dla was.

Jeden błąd wasz, odkryty przez dziecko, jeden krok fałszywy a zajdziecie na manowce.

A drogi prawie że niepodobna odszukać, raz z niej zszedłszy. Praktyka życiowa uczy, że naczelniczka domu, która dzieciom swym i służbie tłumaczy każdy swój rozkaz rozumowo, zyskuje anarchię w domu, a koronę cierniową na skronie.

Nowe drogi są dobre, lecz my chodzić jeszcze po nich nie umiemy.

Udoskonalmi najpierw siebie i niechaj to pójdzie przez kilka pokoleń dziedzicznie, wtedy wolność nie zaszkodzi dziecku. Tymczasem wymóście na sobie, przez miłość dla tych ukochanych maleństw, powściągliwość w pieśczętach: twarda pościel, pożywne, lecz niewykwintne pożywienie, praca ręczna, wytrzymałość na zimno, wyrobiam hart ciała, posłuszeństwo, znoszenie przeciwności, zwalczanie przeszkód i pokus, dadzą hart duszy. Oto jedyna droga do uczynienia dzieci naszych szczęśliwymi!

Co do systematu kształcenia, autor „Sentymentalizmu w wychowaniu” słusznie twierdzi, że nauka nie powinna być zabawą.

Należy ją uczynić przyjemnością,—lecz zabawa i przyjemność nie są identyczne.

Dziecko, zaczawszy traktować naukę, jako zabawę, w późniejszym życiu każdy obowiązek, każdą rzecz poważną traktować będzie ze strony zabawnej i wyrośnie na lekkoducha.

Niechaj pokocha naukę, lecz niech się nią nie bawi. Dlatego śmiech i wesołość, tak miłe przy zabawach, podczas wykładu są zupełnie niewłaściwe i nie mogą być tolerowane.

Przy dzisiejszym sposobie przeplatania lekcji częstymi przerwami, wymaganie od dziecka poważniejszego nastroju w ciągu półgodziny, nie zacięży na niem zbyt wielkim przyrusem.

Jedynie poznanie alfabetu i składanie wyrazów za pomocą ruchomego abecadła metodą dźwiękową, powinno być traktowane, jako miłe zajęcie, bez nadawania mu charakteru lekcji, ponieważ opiera się na mechanizmie, a nie na rozumowaniu.

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ

(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

W liczbie tych, co po improwizacjach Chopina przyszedli za kulisy wyrazić mu swój zachwyt dla jego kompozytorskiego i wirtuozowskiego talentu, był także i jeden z najwyższych dygnitarzy dworskich, hrabia Dietrichstein, co było ogromnym zaszczytem dla młodzieńczego artysty. „Przyszedł wczoraj na scenę hrabia Dietrichstein, osoba bliska

cesarza; mówił ze mną dużo po francusku; chwalił i zachęcał, żeby dłużej w Wiedniu zostać.“ Te pochwały ze strony hrabiego Dietrichsteina, który był nie tylko bliskim cesarza, ale i Beethovena, były wyrazem tego zachwytu nad grą Chopina, jaki wzbudził wśród przedstawicieli najwyższej arystokracji, obecnej na koncercie. „Głos powszechny utrzymuje, że się noblessie tutejszej podobał. Schwarzenbergowie, Wróblewski i t. p. nadzwyczaj chwalili delikatność i elegancję gry mojej; dowodem tego hr. Dietrichstein, co był na scenie.“ Rodzinie hrabiów Lichnowskich, z którą Beethoven był zaprzyjaźniony, tak się podobała gra młodego koncertanta, iż go przez Würfla zaprosili do siebie na czwartek wieczór, na herbatę. Ale te dowody uznania i uwielbienia, których mu zaraz po koncercie nie szczędziła miejscowa noblessa, jakkolwiek mu były miłe, to jednak nie tyle go upoiły wiarą w siebie, ile najgorętsze pochwały ze strony fachowych muzyków, i to ze strony takich znakomitości muzycznych, jak Czerny, Schuppanzigh, Gyrowetz i inni. „Czerny dużo mi komplementów nagadał, Schuppanzigh i Gyrowetz także.“ A to samo mógł powiedzieć o Würflu, o Nideckim, o Goldenbergu, o Seyfrydzie, wszyscy mu nie szczędzili najwyższych słów uznania.

Nadto wszyscy, jakby się zmówili, odrazu zaczęli go namawiać do dania drugiego koncertu. „Już trzeciego koncertu nie dam i drugiego nie grałbym nawet, gdyby nie to, iż koniecznie chcieli. A potem przyszło mi na myśl, iż w Warszawie mogliby powiedzieć: Cóż tam, jeden koncert dał i wyjechał, może się źle wydał.“ Postawił także za warunek, iż bezwarunkowo będzie grał swoje Rondo. Chciał grać na pierwszy numer Rondo, a następnie improwizować. Uproszono go, by jeszcze raz prócz tego grał swoje „Waryacje.“ Był jeszcze jeden warunek, na który się także zgodził, ale to już przekraczało zakres sztuki. „I drugi raz gram darmo, a to dla ujęcia sobie pana hrabiego, któremu chudo w kieszeni (ale to w sekrecie). Mam grać Rondo i improwizować.“ Uradowany, że i na ten drugi występ nie Chopinowi zapłacić nie będzie potrzebował, hr. Gallenberg naznaczył zaraz termin tego drugiego koncertu, mianowicie dzień 18 sierpnia, a ułożył cały jego program. Na początek zdecydował się dać uwerturę Lindpaintnera z opery „Bergkönig“ potem Chopin miał grać swoje Rondo, potem młodzieńcki uczeń Jansa, skrzypek, Józef Khayl, miał wykonać polonez Maysedera, poczem Chopin miał powtórzyć swoje „Waryacje“ a następnie improwizować. Na zakończenie znowu balecik.

Tymczasem, upojony powodzeniem tego pierwszego koncertu, nazajutrz po nim, pisząc do domu, w tych słowach formułował swoje wrażenia: „Pierwsze więc moje wystąpienie, o ile było niespodziane, o tyle szczęśliwe. Hube powiada, że człowiek nigdy zwyczajną drogą i podług ułożonego przez siebie planu nie dojdzie do niczego, potrzeba coś losowi zostawić. Tak też na los szczęścia dałem się na koncert namówić... Przystąpiłem na to i nie wygwizdali mnie! Jak przyjadę, opowiem wszystko lepiej, niżbym napisać potrafił. Bądźcie spokojni o moją

osobę i o moją sławę... Ciekawym, co na to wszystko powie pan Elsner. Może [mu się niepodoba, że grał? Ale tak mię odurzili, że się nie mógł wymówić. Zdaje mi się, zresztą, iż nic złego nie zrobiłem. Dziś mędrszy i doświadczeńszy jestem [o jakie 4 lata. Panu Skarbkowi, co mię głównie namawiał na danie koncertu, dziękuję, bo to już wstęp w świat. Panu Elsnerowi proszę to wszystko opowiedzieć, i przeprosić go, iż nie piszę, ale tak jestem rozerwany, że nie wiem, gdzie mi się godziny podziewają.“

Istotnie nie wiedział, do czego się wzięć pierwiej, tyle miał bieganiny, tak miał każdą chwilę zajętą. Przedewszystkiem musiał składać różne wizyty, a następnie dotrzymywał towarzystwa swym kolegom, z którymi zwiedzał, co było godnego widzenia w Wiedniu. Do wesołej tej kompanii, w której i Nideckiego najczęściej nie brakło, przyłączyło się także dwóch młodych Polaków, chwilowo bawiących nad Dunajem. „Bawili oni kilka dni w Wiedniu i często się z nami widywali. Jeden z nich nazywa się Niegolewski z Wielkopolski, młody chłopiec, jadący do wód ze swoim guwernerem, a raczej towarzyszem podróży, Kopytowskim, akademikiem warszawskim.“

Zaraz następnego dnia po koncercie, jeszcze nim zdążył wyjść z hotelu, miał wizytę jednego ze swoich dobrych znajomych warszawskich. „Wertheim przypadkiem wczoraj z żoną z Karlsbadu przyjechawszy, poszedł zaraz na teatr, ale nie mógł się zorientować, że to ja grałem. Był już dzisiaj u mnie z powinszowaniem. Widział się w Karlsbadzie z Hummlem; powiada, że Hummel wspominał mu o mnie i że dziś do niego napisze, donosząc o mojem wystąpieniu.“ Mając grać powtórnie, uważał sobie za obowiązek grzeczności być przedtem z wizytami u główniejszych recenzentów muzycznych, by sobie tym sposobem zaskarbić ich względy. Wizyty te zajęły mu dość czasu, ale miały przynajmniej to dobrego do siebie, że mu wszyscy obiecali „dobrą recenzję“, którą zresztą, samą sprawiedliwością powodowani, napisali i tak, bez wizyty utalentowanego artysty. W każdym razie wizyty te mu nie zaszkodziły, co zwłaszcza mógł powiedzieć o odwiedzinach u słynnego Bäuerlega, któremu „podał się na szczęście.“ Dowiedział się od niego przy tej sposobności, że recenzja o pierwszym koncercie „leży już napisana.“ Tegoż dnia, w czasie swej bytności z kolegami w gabinecie starożytności, miał bardzo przyjemne zdarzenie. „Dziś w Antikengabinecie widzi mię jakiś Niemiec; gdym słowo przemówił, pyta się Celińskiego, czy to Chopin? i z wielkimi susami przypada do mnie, cieszy się, iż ma przyjemność poznać bliżej takiego „Künstlera“, mówiąc: *Sie haben nich vorgestern wahrhaft entzückt und begeistert!* Był to ten sam, co obok Maciejowskiego siedząc, strasznie się Chmielem cieszył.“ Wieczór dnia 13 sierpnia spędził młody „Künstler“ w magnackim domu hrabiego Maurycego Lichnowskiego, gdzie oczywiście nie obeszło się bez tego, żeby nie zasiadł do fortepianu, może do fortepianu, na którym jeszcze przed kilku laty grywał Beethoven.... Wspomnienia o twórcy „Fidelia“

i kult dla niego były wogóle w domu tym nadzwyczaj żywe i serdeczne. Zaprzyjaźniony szczerze z hrabią Lichnowskim, dedykował mu Beethoven swoje Waryacje op. 35 oraz swą cudną Sonatę op. 90. Do napisania tej Sonaty natchnęła Beethovena namiętna miłość hrabiego Lichnowskiego do śpiewaczki wiedeńskiej, panny Strammer, którą po przełamaniu wielu przeciwności poślubił w końcu.

Ta przeszłość artystyczna hrabiny Lichnowskiej sprawiała, że salon jej należał do najmuzykalniejszych w Wiedniu. Otóż takim był dom, do którego teraz Würfel wprowadził swego pupila. „Dziś poznałem hrabiego Lichnowskiego; nie mógł mię dosyć nachwalić. Würfel mię do niego zaprowadził. Jest to ten sam, co był największym przyjacielem Beethovena. Pani Lichnowska z córką, u których byłem dzisiaj na herbacie, cieszy się nieskończeniem, iż w przyszły wtorek dam drugi koncert. Powiedziała mi ona, że gdy będę przez Wiedeń do Paryża jechał, iżbym nie zapomniał być u nich, a dadzą mi list do jakiejś komtesy, siostry samego Lichnowskiego. Wiele grzeczności. Lichnowski chciał mi swego fortepianu pożyczyć na koncert (i to wiele), bo mu się zdawało, że mój za słaby. Ale to mój sposób grania, który się znowu damom bardzo podobał, a szczególnie pannie Blahetce, pierwszej fortepianistce wiedeńskiej.“

Ta panna Blahetka, o [której sam Chopin pisał do Wojciechowskiego, iż] „dwudziestu lat jeszcze nie ma, sprytna, a nawet ładna dziewczyna,“ pozostawała przez cały czas pobytu młodego maëstra w Wiedniu nie tylko pod urokiem jego poetycznej gry, ale i pod urokiem jego pełnej wdzięku osoby. Krótko mówiąc, była na drodze zakochania się w nim, co nastąpiłoby z pewnością, gdyby tu zabił dłużej. W każdym czasie, o ile mu tylko czas na to pozwolił, zachodził do domu Blahetków dość często, muzykował z panną Leopoldyną, opowiadał o Warszawie, a wszystko to tak dalece młodą fortepianistkę usposobiło przychylnie dla miasta rodzinnego Fryderyka, że postanowiła w najbliższej przyszłości przyjechać do Warszawy i dać tam parę koncertów¹⁾. Chwile te spędzane w towarzystwie sprytniej i ładnej córki redaktora „Gazety Wiedeńskiej,“ zapisały się w pamięci, a nawet w sercu Chopina nad wszelki wyraz mile bo nietylko, że sam polubił ją nadzwyczaj, ale doskonale zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie potrafił wzbudzić w duszy młodej dziewczyny. To też z niemałą przyjemnością myślał o swym możliwym powrocie do Wiednia, do czego nietylko panna Blahetka i jej ojciec, ale wszyscy muzycy i niemuzycy go namawiali.

Jedni byli za tem, żeby tu został na zimę, inni, jak Haslinger, doradzali dłuższy pobyt wogóle, a wszyscy czynili to z sympatyi dla genialnego artysty, bo wszyscy, podbici jego wdziękiem, pragnęli ujrzeć go znowu, mieć go przez czas dłuższy między sobą. Jeśli chodzi o „wszystkich większych artystów Wiednia,“ z którymi za każdym widzeniem zacieśniał się jego stosunek przyjazny, to widywał się z nimi najwięcej w kawiarni przeciw Kärtnerthortheatru, w której o pe-

wnych godzinach popołudniowych schodziło się mnóstwo przedstawicieli świata artystycznego. Bywał tam między innymi Gyrowetz, Lachner, Kreutzer, Seyfried, Würfel, Nidecki; prócz tego bywał także i u nich, przy czem oczywiście rzadko kiedy obchodziło się bez muzyki lub przynajmniej rozmów o niej. Wieczorem spotykał się z nimi w teatrze, a w dzień, po za godzinami spędzanymi w kółku swych towarzyszy podróży, bądź w składzie nut Haslingera, którego odwiedzał raz po raz, bądź u którego z fabrykantów fortepianów, u których grywał i przygotowywał się do swego drugiego wystąpienia. Podobny tryb życia, osładzany ciągłymi dowodami uznania, wpływał doskonale na ogólny nastrój Fryderyka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WŁADYSŁAW ORDON.

(Ze wspomnień lwowskich).



(Dokończenie).

Bądź co bądź jednak przyznać potrzeba, że improwizacye Ordona rzadko kiedy dorównywały iście skończonej nieraz doskonałości poezyi jego *pisanych*. Tu tylko był on częstokroć *mistrzem*, co się zowie, choć nie brak było i takich, którzy nie wahali się go nazywać — „*sztukmistrem*“ jedynie!

„*Mówią, że m sztukmistrz!*“ — woła on z goryczą w jednym z przepięknych swych wierszy —

Mówią, że m sztukmistrz! Że w błyskotki słowa
Odziewam myśli i puszczam do ludzi,
Że ducha mego cisza lazuruwa,
Żadną się walką wewnętrzną nie utrudzi;
Że kiedy z piersi mej wyrwą się lotne
Pieśni i płyną w harmonijnym śpiewie,
To we mnie czucia nie drżą tak samotne,
Jak po odlocie ptaków — liść na drzewie.

Mówią, że m sztukmistrz!... Dąbrowo, dąbrowo!
Czy nie mówiłaś ty do mnie od rana?
Czy dębów starców rzesza rozszemrana
Duszy mi tajną nie maciła mowa?
Gdy pól na wiosnę — grało młode tętno,
Gdy Czerwiec czesał gwiazdom złote włosy...
Gdy wicher zimą śpiewał pieśń namiętną,
Czym was nie słuchał — ziemi i niebiosy?
.....
Nigdy m Ciebie Panie, nie widział oczyma...
Lecz przyście Twoje znam po wielkiej trwodze,
Wiem, że złość ludzka przeczy Twojej drodze,
Żeś jest, gdzie oczom ludzkim Ciebie niema:
I dziś choć z szaty kapłańskiej odarty,
Choć jad zwątpienia zemdlil moje serce,
Czuję Cię nawet w tej myśli rozterce,
I Twojej ręki chwytam się uparty.

Napróżno! Świat mi w oczach się odmienia,
Upadek w myślach, w uczuciach posucha!
Z gorączką sięgam w skarbiec mego ducha...
Rozpacz! Nie mam ni światła, ni cienia,
Dziecka, ni kwiatu — hymnu, ni westchnienia!

Lecz stój! Nie tryumfuj aniele zwątpienia!

Odsłoń okno... Ciężką głowę złożę:
I myśleć będę o śmierci, o życiu,
O tobie ziemi i o Tobie Boże:
O zgonie liści i kwiatów rozwiciu,
O białym śniegu, który krew wylaną
Kryje, nie dając pyłu poniewierce,

O tej, co tchnęła pulsów moich biciu
Siłę nieznaną i rozkosz nieznaną,
O dniach ubiegłych i — znów jutro rano
Będę miał pieśni nowych pełne serce!

Tak — słusznie powiedziano o Ordonie: „Ordon — to młode orle z szeroko rozwianymi skrzydłami, patrzący wprost w słońce i słonecznymi blaski zdobiący swoje poezye.“

W utworach jego uderza zawsze *niezwykła* siła wysłowienia, męskość, język bogaty w kunsztowne zwroty, myśl zawsze niepospolita. Wszelką mamy nadzieję, że Ordon w przyszłości, jeśli nie pierwsze, to niezawodnie pierwszorzędne miejsce zajmie w literaturze naszej *).

O! straszliwa ironio losu!...

I pomyśleć tylko, że dusza tak wysoce niegdys poetyczna, że człowiek tak ogromnego niegdys talentu, w chwili, gdy kreśliły te słowa, zapomniany i opuszczony przez wszystkich — dogorywa od lat wielu w szpitalu obłąkanych, że niema już dziś nawet ani isierki pamięci o świetnej swej przeszłości!...

I pomyśleć tylko o tem!...

Posłuchajcie jeszcze co opowiada o najsmutniejszej tej właśnie epoce jego życia i o czasach najwcześniejszej jego młodości ś. p. Michał Wołowski, który go znał od dzieciństwa:

„Dziwnymi były losy tego człowieka-poety, którego mam zamiar przypomnieć czytelnikom, a dziwniejszym jeszcze koniec jego pieśni życia, tak świetnie rozpoczętej, rozdźwiękiem przzerwanej i na nowo nawiązać się nie mogącej.“

„Pamięć moja o Władysławie Szancerze, używającym niegdys pseudonimu Władysława Ordona, sięga jeszcze dzieciństwa, t. j. tej chwili, gdy za ładą cukierni Malczykowskiego w Płocku uwijał się mały, jak ja, chłopczyna i podawał gościom czekoladę lub ciastka.“

„Był to mały brunecik, z noskiem przypominającym nieco semickie pochodzenie, o oku żywym i bystrem, zręczny, fertyczny i dowcipny wielce w odpowiedziach, a zawsze pełen zdumiewających na swój wiek obserwacji.“

„Ś. p. Józef Narzyski, uderzony tak niezwykle zdolnościami młodego chłopca, wyciągnął go z cukierni i zajął się jego przyszłością.“

„W kilka lat potem znaleźliśmy się z Ordonom w trzeciej klasie gimnazjum płockiego, gdzie opiekowali się nim Karsey i gdzie z dwoma chłopcami tej rodziny, Adolfem i Włodzimierzem, mieszkał wspólnie na stancyi.“

„Tu już pisywał wiersze i piękne ćwiczenia, które nań zwracały uwagę profesorów.“

„Później przeniosłem się do innego gimnazjum i na długo straciłem Ordona z oczu.“

„Spotkaliśmy się znów w szkole i w redakcyi „Kuryera Codziennego,“ gdzie za czasów Karola Kucza pisywał wiersze i artykuły.“

„Jego „Loterya“ oddeklamowana przez Królikowskiego na koncercie studenckim, zrobiła furorę, jak niemięniej „Na strażnicy,“ wiersz, specjalnie na cześć straży ogniowej napisany.“

„Odtąd rozrywano sobie jego utwory poetyczne, w których tkwił zawsze zapal młodzięczy, myśl głęboka i przepiękna forma.“

*) „Dziennik literacki“ lwowski, nr 30 z roku 1870-go w korespondencyi z Poznania.

¹⁾ „Kuryer Warszawski“ z listopada r. 1829.

„W parę lat później Ordon przeniósł się do Lwowa, gdzie tłómaczył Musseta, Heinego, Hamerlinga i sam nie mało pięknych rzeczy stworzył.

„Ciekawy o losy towarzysza młodości i wielu chwil późniejszych, pytałem o niego, będąc niedawno we Lwowie. Ale pomimo, że Ordon znano niegdyś powszechnie, nie umiano mi o nim nic więcej powiedzieć, jak tylko to, że dostał pomieszania zmysłów i że go odwieziono do domu obłąkanych w Kulparkowie, pod Lwowem. Wielu nawet utrzymywało, że umarł już dawno.

„Postanowiłem więc odwiedzić ów dom, nad którego drzwiami położyłoby należało dantejski napis: „*Lasciate ogni speranza.*“

„Wrażeniami, jakie odniosłem przy zwiedzaniu tej instytucji, podzielę się z czytelnikami innym razem. Dziś zajmuje mnie tylko Ordon, którego wśród obłąkańców szukałem, i którego — dzięki uprzejmości jednego z lekarzy — odnalazłem nakoniec.

„Siedział w kąciaku obszernego pokoju, odziany w burego koloru kaftan szpitalny, z rękoma założonemi na piersiach, poruszając ustami.

„Doktor objaśnił mnie, że to sala inteligencji, a jednak na żadnej z tych twarzy inteligencji dopatrzeć się nie mogłem.

„Ciemność — wszędzie ciemność.

„Przystąpiłem do mego przyjaciela z lat dziecięcych, wyciągnąłem do niego ręce i zawołałem serdecznie:

— „Władku!

„Głowę wprowadzie ku mnie zwrócił, ustami poruszył, ale z jego oczu myśli żadnej wyczytać nie mogłem.

„Krucze kędziory, które tak często z pewnem lwiem zacięciem odrzucał na tył głowy — uciekły gdzieś z jego czaszki, dziś łysej, bez jednego nawet włoska! Oczy czarne zbłądły zupełnie, a cała postać jego drobna skurczyła się i zmalała bardziej jeszcze. Rzekłbyś: myśl, uciekając z ciała, zabrała wszystką jego siłę.

— „Władku! Czy mnie sobie nie przypominasz? To ja, Michał...

— „Michał — powtórzył doktor.

— „Michał?... pamiętam, ale nie więcej nie było, nic... komary tu gryzą... trzeba papierosa... daj papierosa!...

„Podałem mu, naturalnie, tytunierkę, wziął z niej wszystkie papierosy, odłożył je na bok i szepnął:

— „Nie mam nigdy papierosów, a komary gryzą...

„Żadnych innych potrzeb niema, niczego nie pragnie, o niczem nie myśli...

„Takim mi się wydał ten młody, a głośny niegdyś poeta, który żyje nie żyjąc, a o którym zapomnieli ludzie.

„Jego piosnka — przeżyła go jednak.

„Pragnąłbym, aby ten nieszczęśliwy, miał przynajmniej zawsze... papierosy...“ *)

Tyle z ciekawych wspomnień Wołowskiego.

Co do mnie, mógłbym tu także nie jedno jeszcze powiedzieć o Ordonie, gdyż znacznie dopiero później od chwili wygłoszenia opisa-

*) „Poeta zapomniany,“ przez Michała Wołowskiego, „Kuryer Warsz.“ nr 338 z r. 1892-go.

nych improwizacyi — pożegnałem go na zawsze. Byłyby to nawet fakty dla niejednego może zajmujące, ale, że dotyczą one przedewszystkiem własnej mojej osoby, więc ani wątpić, iż stokroć uczynię lepiej, gdy skończę tylko na tem, co powiedziałem dotychczas...

W n-rze 30-ym w powyższym artykule w szp. 2. w. 6 i 7 od dołu zamiast: „Prawda, że był karlego wzrostu,“ powinno być: „Prawda, że był karlego niemal wzrostu.“

Alexander Bolesław Brzostowski.



W sprawie maluczkich.

(Głos z prowincyi).



Czytając w Nr. 28-ym „Bluszczu“ opis ogródków dziecięcych, świeżo założonych w Warszawie, gdzie na tle zieleni faluje tysiące jasnych główek dzieci, które dotąd wychowywała ulica i nędza, nie mogłam się wstrzymać od lez rozrzewnienia i wdzięczności dla tych wszystkich, którzy myśl piękną potrafią w czyn zamienić i wytwarzać tym sposobem wpływ dodatni na całe gromady maleństw, mających się stać w przyszłości pożytecznymi członkami swego społeczeństwa, a posiadających zdrowe dusze w zdrowem ciele.

Dobroczytna Warszawa czyni na tem polu coraz nowsze postępy, a różne stowarzyszenia, mające na celu opiekę nad dziećmi, kalekami i bezbronnemi kobietami, różne domy przytułkowe, i t. p. instytucje świadczą o wysokim rozwoju uczuć humanitarnych naszej stolicy.

Jakże natomiast, prowincya z małemi tylko wyjątkami — odłogiem jeszcze to pole zostawiał gdy i tu nie brak nędzy, kalek i drobnych dzieci, pozbawionych opieki podczas pracy zarobkowej ich rodziców.

Corocznie też smutna rubryka wypadków z dziećmi pozostawionemi samopas, powiększa się i niema dnia prawie, abyśmy nie czytali w pismach opisu wypadków utopienia się w studni, stawie lub nawet kałuży, albo spalania się żywcem dzieci w zamkniętej izbie, rozjechania biegających po drodze i t. p., nie mówiąc już o różnych kalectwach drobiazgu, pozostawionego bez opieki przez niewiele starsze rodzeństwo.

Ileż to przedewszystkiem strona moralna dzieci tych cierpi, na takim zaniedbanii, w jakim one wzrastają.

Jedni drugich psują złym przykładem, namawianiem do różnych psot, wdzierania się do cudzych sadów, znęcania się nad zwierzętami lub słabszemi od siebie towarzyszami, jedni drugich uczą kłamać i przeklinać i t. p.

Kilka tygodni temu w powiecie Przasnyskim, jak donoszą „Echa Płoc. i Łomż.“ zdarzyło się, że dzieci wiejskie podczas zabawy, zasypały żywcem siedmioletniego towarzysza swego w piasku. Torturowany chłopczyzna musiał zapewne bronić się, prosić i płakać — niemogąc wzruszyć zakamieniałych serc swoich katów.

Smutne i pełne grozy światło rzuca ten fakt

na ludność wiejską, mówiąc jawnie o jej zwierzęcych instynktach i czyniąc jednocześnie zarzut tym wszystkim, którzy mając sposobność obcowania z ludem, nie starają się wpływać dodatnio na ciemne masy młodszej braci naszej.

Gdybyśmy bowiem my — stojący na wyższym stopniu hierarchii społecznej, starali zbliżyć się do ludu wiejskiego i wnikać w jego warunki życia, w jego potrzeby moralne i materyalne, gdybyśmy umieli przemówić do ich serc i pojęć, uniknęlibyśmy niezawodnie wielu strat i przykrości, na jakie narażeni jesteśmy w skutek ciemnoty naszych podwładnych i sąsiadów włościan.

W jednym z pism, poświęconych kobietom, ukazał się niedawno artykuł Matki-Polki, wzywający nasze wiejskie panie i panienki do opiekowania się dziatwą służby folwarcznej, gdy rodzice tejże latem, zmuszeni są do całodziennego zarobkowania w polu, zdala od domu.

Autorka tego artykułu słusznie dowodzi, że przy dobrej woli — zawsze znajdziemy chwilę wolnego czasu na obejście parę razy wśród dnia mieszkań służby folwarcznej i zainteresowania się jej dziećmi, które pociągnięte serdecznem obejściem się naszym, wkrótce ośmiela się i ulegną korzystnemu wpływowi kultury i oświaty.

Czyż bowiem matka tych maleństw, zmęczona pracą, przyszedłszy z pola do domu, a zmuszona zająć się jeszcze przyrządzeniem posiłku dla swej rodziny, wydojeniem krowy i t. p. czynnościami, jest w możności badać swój drobiazg, jak on się zachowywał w jej nieobecności, karcieć go za złe, lub zachęcać do dobrego. A któż w jej umysł i serce wglądał za młodu i zaszczeptał jakiegokolwiek pojęcia o etyce? Czyż kilka godzin nauki moralnej, jakiej wieśniacy nasi słuchają co niedzielą, drzemając w kościele — z ambony i z ust swego proboszcza, ma wystarczyć za całe lata pracy naszych wychowawców i nauczycieli, jaką oni poświęcają nam ludziom z klasy inteligentnej?

Zważywszy zatem te i wiele innych okoliczności, nie potępiajmy tak bezwzględnie uboższych duchem, lecz starajmy się tak, jak Warszawa, pomyśleć o czemś uszlachetniającem tych wydziedziczonych.

Czy np. nie możnaby urządzić po wsiach i miasteczkach chociaż w dniu świąteczne podobnych ogródków dziecięcych, czyli zabaw zbiorowych pod kierunkiem inteligentnych osób?

Gdyby córki dworów wiejskich, rozporządzające tak swobodnie czasem swoim, zechciały zainteresować się dziatwą wiejską, a wybrawszy kilka starszych i sprytniejszych dziewcząt, dały im wskazówki kierowania zabawą tych maluczkich, jakże szlachetny kult rozwinęłyby swojemi siłami!

Pamiętam, dzieckiem będąc, u moich rodziców właścicieli ziemskich, miałyśmy dozwoleone wraz z młodszą moją siostrą — bawić się co niedziela z dziewczynkami wiejskimi rówieśnicami naszymi. Trzeba było widzieć uciechę tych drobnych istot, hasających z nami wesoło po ogrodzie dworskim i przyległej łące, urządzających gry jak: np. Róża, Zajac, Kulawy lis i t. p., do których chętnie i starsze dziewczęta przyłączały się również. Wśród

tej zabawy zaś, panowała zobopólna zgoda, harmonia i sympatya, która i na późniejsze lata została. „Panienci“ zawsze miały pierwszy głos wśród dziatwy, za niemi zaś sprytniejsze dziewczątka, które strofowały i nauczały młodsze od siebie lub świeżo przybyłe.

Mając później własną córkę jedynaczkę i mieszkając na wsi, nie bronilam jej łączyć się podobnie z wiejską dziatwą swego wieku i urządzać podobnych zabaw co święto.

W długich latach obserwacji na tle codziennego życia, przekonałam się niejednokrotnie, że lud nasz łatwym jest w uleganiu wpływom dodatnim lub ujemnym i że tam, gdzie w danej wsi znajduje się porządny dwór szlachecki, wglądający w życie i postępowanie swych podwładnych, którego dzieci łączą się czasem z dziatwą wiejską, tam strona moralna o wiele wyżej stoi, niż w majątkach należących do żydów lub dziedziców mało w nich przebywających.

Jest to fakt stwierdzony wieloma przykładami i wielce zachęcający nas do rozwijania owych uczuć humanitarnych, czego przykład daje nam Warszawa. Watpieć też nie należy, iż znajdują się ludzie, którzy niedołężnie wyrażoną myśl swoją, w czyn zamienić potrafią, co daj Boże jak najprędzej!

M. Rolicz-Stoniecka.



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Koncerty Filharmonii w Dolinie. — Orkiestra włościańska K. Namysłowskiego. — Amerykańska operetta „Piękność z Nowego-Jorku.” — Nowości muzyczne.

Już to pogoda prawdziwie po macoszemu obchodzi się z Filharmonią naszą na letniej jej siedzibie w Dolinie. Kaprysy jej raz po raz płatają figle zabiegliwemu zarządowi, który nie szczędził i nie szczędzi zabiegów, aby słuchaczom dać szereg wrażeń podniosłych i trwałych, a w szersze warstwy wszczepić zamiłowanie i kult dla muzyki. Programy koncertów odznaczają się urozmaiceniem wielkiem; do kierowania niemi, oprócz wybornego kapelmistrza w osobie Józefa Hellmesbergera, o którym wspominałem już w jednym z poprzednich przeglądów, zapraszani byli kilkakrotnie z sił miejscowych tak znakomici dyrektorowie, jak Noskowski i Podesti; z młodszych sił u pulpitu dyrektorskiego widzieliśmy tak wytrawnego kierownika, jak p. Konopasek, i tak obiecujące talenty, jak pp. Opieński, Titelberg i Maliszewski; w wieczorach muzyki czeskiej, węgierskiej, francuskiej, włoskiej i swojskiej, usiłowano przedstawić nam i zobrazować ruch twórczy danej narodowości we wszystkich lub też przynajmniej w kilku naraz działach, nowości usłyszeliśmy sporo—słowem czyniono wyszystko, aby utrzymać się na tem stanowisku, na jakie wkroczyło w świetnym sezonie zimowym. I wyszystko byłoby bardzo pięknie, gdyby, powtarzam, nie kaprysy aury. Pomijając już to, że w skutek ustawicznej niepogody frekwencya publiczności znaczenie jest mniejsza, niż, dajmy na to, w roku zeszłym, kiedy gościli w Dolinie nie swojacy, lecz obcy, a programy koncertów przedstawiały o wiele mniejszą wartość artystyczną, niż obecnie, taż publiczność nie jest absolutnie w możności ze skupieniem i powagą słuchać koncertu. Ledwie rozpoczęto jakieś poważne dzieło muzyczne, aliści deszcz wypląsa wszystkich do sali, w koncercie robi się przerwa. Za-

nim się wyszystko usadowi, przeniosą instrumenty, zanim dyrektor unormuje dzwięczność brzmienia orkiestry, obliczaną na przestrzeń obszerniejszą wrażenia rwą się, nastrój ginie i przepada ze szczętem. A cóż dopiero mówić o chłodach, do tego stopnia przejmujących, iż nawet tak ognisty i pełen temperamentu kierownik, jak maestro Podesti, nie był w stanie rozgrzać zziębniętych i chuchających w dłonie słuchaczy.

Wszystko to, rzecz naturalna, odbija się na usposobieniu publiczności, która pod wpływem podobnego rodzaju warunków i niespodzianek, koniec końcem, obojętnie na wyszystko. Temu też przypisać należy, podług mnie, i tę obojętność, z jaką spotkał się u nas wyborny muzyk i dyrektor, p. Józef Hellmesberger, o którym w okazji zakończenia przez niego gościny w grodzie naszym, pomówić pragnę w kilku słowach. Pana Józefa Hellmesbergera poznała Warszawa przed kilku już laty, jako świetnego skrzypka. Występował on wtedy na czele kwartetu smyczkowego, który długie lata sływał w świecie całym, jako wzór zespołu. Obecnie muzyk wiedeński, smyczek zamieniwszy na baturę, zajmuje stanowisko pierwszorządne i należy do najlepszych kapelmistrzów, jakich wydała szkoła wiedeńska. Jest on kolegą Hansa Richtera, Nikischa i Mottla i posiada prawie wyszystkie właściwości tych wirtuozów pałeczki. Energia, przytomność, sprężystość, wielka rutyna i doświadczenie, znakomite wniknięcie w charakter kompozyty, uchwycenie właściwego stopnia szybkości, idealne przestrzeganie wyszystkich znaków, opracowanie drobniagowe każdego szczegółu, umiejętność w wydobyciu nader interesujących efektów dynamiki i kolorystyki, wielka ścisłość i sumiennność — oto zalety uzdolnienia dyrektorskiego Hellmesbergera. Przy wyszystkich tych zaletach przydałoby się wiedeńskiemu kapelmistrzowi wprawdzie nieco więcej temperamentu, z którego wieje czasem jakby pewien chłód, ta jednak ujemna strona jego uzdolnienia przy tylu dodatnich, wiele wazyć nie może i nie powinna. Utalentowany kapelmistrz przedstawił się zarazem, jako wybitny muzyk i kompozytor. Utwory jego cechują: melodyjność płynna i przystępna, wdzięk, wytworność opracowania i instrumentacja barwna i interesująca pod każdym względem. Zalety te zauważyć się dały zarówno w kilku kompozycjach Hellmesbergera dawniejszych, jak to w muzyce baletowej z opery „Fata morgana“ i ustępach z baletu „Perła Iberyi,“ jak i w napisanych przezeń z niezwykłą łatwością i szybkością podczas pobytu w Warszawie. Do tych ostatnich należą: milutka „Serenada,“ wdzięczna „Pieśń miłosna“ na altówkę, charakterystyczny „Taniec elfów“ z ręczną fantazyą p. t. „Sen na Wiśle,“ oraz dwa marsze z motywów polskich, w których nadzwyczaj misternie przewijają się i kojarzą ze sobą popularne tematy „Kaliny,“ piosenki „Tam na bloniu błyszczy kwiecie,“ wreszcie Moniuszki „Trzech budrysów,“ „Kozaka“ i „Starego kaprała.“ Wyszystkie te utwory znamionują w kapelmistrzu wiedeńskim muzyka z głębką wiedzą muzyczną, pełnego inwencji i umiejącego przybierać pomysły swe w ciekawe barwy charakterystyczne. Zsumowawszy wyszystko wyżej powiedziane, musimy dojść do wniosku, że Hellmesberger przedstawił się, jako artysta pierwszorządny, jako kompozytor doskonały i jako kierownik kapeli wytrawny i świadomy celu, do którego dąży i jako taki powinien był zjednać sobie u nas uznanie szerokie. Że zaś go nie zdobył w tym stopniu, na jaki zasługiwał, to przypisać jedynie należy niezwykle niedogodnym warunkom, o jakich wspominałem powyżej, w których pracował w grodzie naszym. W każdym jednak razie praca wiedeńskiego muzyka, oparta na zasadach i tradycjach wybornej szkoły, nie pozostała bezowocną i bezwarunkowo odbiła się pomyślnie na coraz większem doskonaleniu się naszej orkiestry filharmonicznej. Produkcyje tej młodej drużyny artystycznej odznaczają się obecnie takimi zaleta-

mi pod względem równości, zgodności, brzmienia pełnego wyrazistości, cieniowania i estetycznego traktowania wykonywanych utworów, że, doprawdy, pozazdrościć jej nam można.

Dużemi również zaletami, lecz w innym stopniu i rodzaju, odznacza się druga z grających obecnie kapel — orkiestra włościańska Karola Namysłowskiego.

Gdym kilkanaście lat temu usłyszał po raz pierwszy tę siermiężną drużynę, składała się ona z 20-tu niespełna członków. Siermiężni muzycy, świeżo oderwani od roli, często gęsto machali wtedy smykami, jak się udało, dęte instrumenty, dość lichy, szwankowały mocno na punkcie czystości intonacji, o pełni brzmienia nawet mowy być nie mogło, zgodność i rytmika wiele pozostawiały do życzenia — jednym słowem kapela wówczas, aczkolwiek posiadała już pewne cenne przymioty, jak werwę i temperament, i znać było w jej produkcyach wielką pracę kierownika, była jednak ciałem zupełnie surowem i niezespolonem.

Obecnie sympatyczna drużyna przedstawia się do tego stopnia imponująco pod każdym względem w porównaniu z tem, co było, iż wierzyć się nie chce, aby jeden człowiek mógł osiągnąć tak wielkie rezultaty w tych warunkach, bez solistów dobrych, bez zawodowców wytrawnych. A jednak tak jest. Namysłowski, muzyk dobry i zdolny, a co najważniejsze, człowiek prawdziwie kochający sztukę, o tytanicznej zaiscie pracy i wytrwałości, stworzywszy orkiestrę, rzecz można, z niczego, postawił ją obecnie na takim stosunkowo stopniu doskonałości, że na najwyższy podziw, jako organizator, zasługiwać powinien. Przytem i to jeszcze zaznaczyć należy, iż nie pozwolił się porwać wzrastającemu wciąż powodzeniu swojego dziecięcia, nie zszedł z drogi raz obranej. Znając doskonale środki, jakimi kapela jego rozporządzać jest w stanie, śledząc za jej rozwojem duchowym, nie porywał się i nie porywa na kompozycyje wielkie, symfoniczne; jego areną jest muzyka lżejsza, a głównie swojska, na tematach, czerpanych ze skarbnicy ludowej, oparta. Ale za to w wykonywaniu tego rodzaju rzeczy jego „muzykanci“ są nieporównani. Trzeba słyszeć np. takiego mazura „o babuleńce“ z „przyśpiewkami“ lub „Oberki w karczynie,“ z jaką werwą, z jakim zacięciem, z jakim rozmachem szerokim podobne utwory są traktowane! Więc gdy po wrażeniach artystycznych i subtelnych nastrojach w Dolinie, gdzie panuje wyższa kultura muzyczna, ale „międzynarodowa,“ człek zapragnie swojskiej melodyi, dziarskiego rytmu „od ucha do ucha“ i pokrzepienia dla nerwów, niech podąży na Dynasy. Znany to pewnik, jak się dowcipnie i trafnie wyraził jeden ze zdolnych publicystów naszych, że „po najwyszukańszych frykasach i zamorskich delikatesach pocziwy razowiec często wyśmienicie smakuje.“

Pisząc o muzyce, nie mogę pominąć milczeniem wystawianej obecnie w teatrze Nowości rozgłosnej amerykańskiej operetty Kerkerera p. t. „Piękność z Nowego-Jorku,“ a to dlatego, że rozgłos, jaki towarzyszył jej w nieprzerwanym pochodzie na obu półkulach, zdobyła sobie tylko dzięki muzyce. Libretto „Piękności“ pomimo umiejętnej przeróbki, dokonanej przez prawdziwie uzdolnionego w tym kierunku p. Śliwińskiego, który wiele rzeczy wyrzucił, sporo, i to dobrych, dodał, oraz wprowadził w chaos, panujący w oryginale, jaki taki porządek, pozostało jednak, jak było, w założeniu naiwne i bezsensowne, w przeprowadzeniu akcji jałowe. Strona muzyczna za to operetty posiada dużo wartości. Najcenniejszemi jej zaletami są melodyjność wyszystkich prawie numerów, płynna, przystępna, niepozabawiona często szerszego polotu i natchnienia, oryginalność w zwrotach i ukształtowaniu myśli muzycznych, oraz odrębność odmian rytmiki. Po za tem całe opracowanie zdradza muzyka doświadczoną, obdarzoną dużą erudycją. Harmonie są wszędzie dobre i dobrze brzmiące, często oryginalne, nierzadko spotyka się w partycyi ciekawe subtelności po-

lifoniczne, w formach i w rytmice panuje wielkie urozmaicenie, instrumentacja wreszcie odznacza się pełną i barwną dźwięcznością. Te zalety muzyczne utworu Kerkerera, stawiające go o całe niebo wyżej od nudnych zlepków, robionych podług receptowego szablonu w rodzaju różnych „Wesołych par“ Ziehrera lub „Słodkich dziewczyn“ Reinhardta, które jednak liczyły u nas przedstawień niemal na setki, powinny zapewnić amerykańskiej operacie powodzenie wielkie, tem bardziej, że wykonanie jej, ze wszech miar wzorowe, i wystawa niezwykle świetna i bogata, nie pozostawiają do życzenia.

Na zakończenie nieco o nowościach muzycznych. Ruchliwa firma Sennewalda wydała walca, osnutego na najpiękniejszych motywach „Piękności z Nowego-Jorku“, w układzie L. Lizu, oraz trzy najwybitniejsze ustępy z tejsze operetty, mianowicie na fortepian: marsza członków Armii zbawienia i polkę „gwizdana“, oraz do śpiewu na głos barytonowy walca z drugiego aktu. Nakładem tejsze firmy wyszły jeszcze na fortepian dwa utwory Griega: piękne „W górach“ i charakterystyczny taniec w świątyni z „Olafa Trygvasona“, dalej elegancka „Arlekinada“ Godarda, śliczna humoreska Schütta, oraz „Siciliana“ Leszetyckiego. Ostatnie dwie kompozycje, melodyjne, wdzięczne i ładnie opracowane, lecz dość trudne, nadają się jako utwory popisowe, dla osób, wyżej już zaawansowanych w grze fortepianowej. Z wydawnictw firmy Gebethnera i Wolffa pojawiło się na półkach księgarskich kilka utworów muzyki lżejszej, mianowicie parę ustępów z operetki Reinhardta p. t.: „Słodka dziewczyna“, z których na wyróżnienie zasługuje rzeczywicie ładny śpiew na głos sopranowy, oraz oryginalny marsz angielski Lionela Moncktona. „Meloman“ wreszcie w zeszytach 7-ym i 8-ym wystąpił z całym szeregiem nowości z zakresu belletrystyki muzycznej, z których korzystnie wyróżniają się „Valse capricante“ Lack'a, melodia włoska Moszkowskiego i mazurek Stojowskiego. Staranne opalcowanie utworów i druk bez omyłek, jak zwykle w „Melomanie“— bez zarzutu.

St. Dziadulewicz.

Co modne w Paryżu?

Wielcy krawcy rozmyślają już o kostymach jesiennych, o miękkich a ciepłych materyach, które chronić będą od pierwszych chłodów. Tymczasem nad morzem od Boulogne aż do Biarritz, jak kwiaty jasne rozkwitają lekkie kostyminy i toalety, przyczem panie i panny stanowiąc zaczętną skłaniać się do noszenia krótkich spódniczek z białej piki, flaneli albo płótna, gdy tylko znajdują się nad morzem, na wsi, gdy grają w Tenisa lub robią wycieczki w samochodach.

Etaminy o tonach nikłych noszone na jedwabnych spodach są bardzo modne, zarówno jak dla młodych panien, białe tiulowe haftowane suknie.

Kapelusze bardzo płaskie są podnoszone z tyłu lub z boku i muszą mieć wiszące aż na szyi koronkowe volants.

Bardzo praktyczne obmyślono teraz halki z dużymi falbanami z miękkiego muślinu, batystu i koronki.

Falbana ta zakończona jest ozdobami *à jour*, także same oczka są naszyte na spódnicy, tak, że falbany przymocowuje się do halki, przeciągając przez oczka wstążkę. Do prania odejmuje się falbanę bardzo łatwo, wywlekając wstążkę.

Ostatnią nowością, którą niedawno zainaugurowano w pewnym miliardowym domu amerykańskim, są elektryczne ubrania stołów i sal balowych.

Dzięki nowym udoskonaleniom, przewodniki elektryczne składają się z taśm niezmiernie miękkich i elastycznych, dających się układać i rozwijać we wszelkie festony, kokardy, girlandy, a gdzie tylko się chce wykwitają lampki elektryczne, spowite w jedwabne osłony, imitujące różnobarwne kwiaty.

Efekt jest przepyszny.

Szczególnie ładnie wygląda stół ubrany festonami kwiatów, wśród których błyszczą lampki, bardzo ładne są też ubrania sali balowej, w których lampki wiszą wśród kwiatów u sufitu, giną i majaczej pośród portyer, żarzą się w kwiatkach.

Dzień każdy przynosi niemal nowe i oryginalne poszukiwania, jakieś nowe pomysły, mające na celu ozdobę domu, upiększenie salonu, tak, że wkrótce przedmioty do niedawna nieznanne i niepotrzebne prawie, staną się naraz niezbędnymi, koniecznymi, bo tak chce moda i tak je ta wszechwładna pani umie narzucić.

Od pewnego czasu zapanowała moda na witraże. Wynajdują dla nich najwznowiczej kombinezacje, ale oto po za witrażami w oknach, tak bardzo modnymi, wymyślono teraz w Paryżu nowe zastosowanie tego rodzaju dekoracji. Nowa moda polega na łączeniu witraży według obranego rysunku, poczem umieszcza się cały taki przezroczysty obraz w pięknie rzeźbionej ramie, czyniąc świetny ekran przed kominek, poprzez który w wieczory zimowe przepysznie grać będzie ogień blaskami palących się szczap. Daje to istotnie światło przemiłe, złagodzone.

W Hollandyi, gdzie robią się portrety witrażowe, zwyczaj takich ekranów bardzo się rozpowszechnił; opowiadają o wspaniałym ekranie, który ofiarowała królowa-matka królowej Wilhelminie: przedstawia on Św. Jerzego zwyciężającego smoka.

Niezmiernie też modne są obecnie skóry wyciskane w desenie, są one powszechnie używane i stanowią ostatnie słowo mody. Obicie ścian (panneaux), krzesła, poduszki, nawet tace skórzane, pokryte szkłem, spotyka się we wszystkich bardzo eleganckich domach. Szczególnie gabinety, fumoir'y i przedpokoje, oraz sale jadalne są teraz całkowicie wybijane skórą.

Dla zajęcia czasu w lecie, Paryżanki zabrały się gorliwie do malowania na porcelanie.

Pospieszam jednak dodać, że po większej części panie używają systemów kalkowych, t. j. już przygotowane kalki przenoszą na porcelanę i następnie wypalają.

Kiedy mówię o modach, pozwolę sobie na zakończenie podać opis sukien i ceremoniału, jaki obowiązuje na dworze angielskim przy prezentowaniu dam królowej.

Ceremoniał ten jest bardzo ciekawy; suknią przepisaną etykieta musi być dekoltowana dość głęboko, rękawy krótkie, a tren obowiązkowo winien mierzyć przynajmniej 3 metry 20 cent. długości. Na suknię nakłada się płaszcz jedwabny przepisanej formy, bukiet kwiatów w ręce; dla panien w uczesaniu trzy pióra strusie, dla mężatek dwa.

Królowa przyjmuje albo przedstawicielki rodów arystokratycznych, albo bardzo bogate córki i żony przemysłowców, kupców, adwokatów, oficerów.

Przyjęcia odbywają się cztery razy do roku

i stanowią dla przedstawionej niby dyplom na bywanie w najwyższym świecie angielskim.

Lord szambelan ogłasza datę przedstawień w „Dzienniku oficjalnym“, zaznaczając zawsze, że tylko dziesięć osób może być przedstawionych naraz. Dodajmy tutaj wszelako, że osoba raz przedstawiona zachowuje ów przywilej osoby bywającej u dworu przez całe życie, chyba, że wychodzi za mąż lub mąż jej podnosi się w hierarchii urzędniczej, wówczas prezentuje się powtórnie.

Każda osoba przedstawiana musi mieć „matkę wprowadzającą“, która podaje szambelanowi na dwa dni pierwej nazwisko wprowadzonej, otrzymując w zamian dwa biuletyny drukowane, na których pisze się nazwisko kandydatki. Jeden biuletyn oddaje się paziowski przy wejściu do pierwszego salonu, drugi woźnemu w sali przyjęć, który wręcza go szambelanowi, ogłaszającemu głośno nazwisko.

Ceremoniał przyjęcia jest następujący: kto pierwszy przyjechał, ten pierwszy wchodzi do królowej. Pierwej czeka się z trenem przewieszonym przez rękę, ale z chwilą wejścia do galeryi lokaj rozkłada tren na całą szerokość. Przedstawiana musi jednocześnie zdjąć rękawiczkę z prawej ręki.

Stojąc przed królową, należy uczynić głęboki ukłon i wyciągnąć prawą rękę, na której królowa opiera swoją dłoń. Wówczas prezentowana całuje rękę królowej i wychodzi tyłem, składając ciągle ukłony.

Jeżeli prezentowana jest księżniczka albo córka lorda, królowa całuje ją w policzek, albo w czoło.

Dodajmy nakoniec że tylko osoby bardzo wysokich rodów mogą uczestniczyć częściej, niż raz do roku w przyjęciach.

Suknie na te uroczystości są zazwyczaj wspaniałe; zanotujmy kostyum lady Benett: suknią z białego jedwabiu pokryta tiulem zahaftowanym perłami, płaszcz pokryty koronkami „à point d'Angleterre“, panna de Young suknią wysadzaną konchą perłową, płaszcz ubrany różami, pani Curzon-Newton, płaszcz haftowany srebrem.

Co jednak martwi Anglików, to fakt, że owe suknie dworskie, a ostatnio i koronacyjne przechodzą — zawsze z Paryża.

Parisia.

Treść numeru:

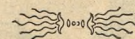
Nasz kwestyonaryusz paniński. — Przystań, powieść współczesna, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Słoneczna legenda (wiersz), przez Mileśa, — Przyczyny i skutki: VI, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Alexandra Bolesława Brzostowskiego (dokończenie). — W sprawie maluczkich (głos z prowincji), przez M. Rolicz-Słoniecką. — Przegląd muzyczny, przez S. Dziadulewicza. — Co modne w Paryżu? przez Parisię. —

Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz ósmy „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki“ d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 25). — Przepisy kuchenne.

— Tablica krojów z powodu opóźnienia w wykończeniu dołączoną zostanie do numeru przyszedłego.



PRACOWNIA KOLDER MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materyały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

ANNA JASIEŃSKA

przełożona VI-cio klasowego Zakładu naukowego

z pensjonatem i klasą przygotowawczą

ul. Hr. BERGA Nr. 8.

Ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży, że zapis na rok 1902/3 rozpocznie się 20 sierpnia. Egzaminy 2 i 3 września. Kurs nauk 4-go września. Metryka i świadectwo szczepionej ospy wymagane.

Pensja żeńska prywatna ANTONINY WALICKIEJ

ul. Krucza № 44, róg Nowogrodzkiej,

Żapis uczennic do klasy wstępnej, I, II, III i IV-ej codziennie od 4-ej do 6-ej po południu.

OBICIA

PAPIEROWE

oraz odnawianie lokali, TANIO!

STEFAN LOBER

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

EDELWEISS DE LA TZARINE

Essencja, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.
Victor Vaissier, Perfumerja w Paryżu, wynalazca mydła Congo Imperial.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**

Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 od d. 15 sierpnia, egzaminy dla nowowstępujących d. 13 września.

Wykłady rozpoczyna się d. 15 Września.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 sierpnia.

W zakładzie naukowym VI-klasowym żeńskim z pensjonatem i klasą przygotowawczą

MARYI GROCHOWSKIEJ

MIODOWA № 1.

Zapis na rok szkolny 1902/3 zaczyna się 20-go sierpnia. Egzaminy wstępne 2-go września, lekcje 3-go września.

„ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, CHMIELNA № 44.

Rodzice, pragnący kształcić swe córki w Krakowie, znajdą dla nich wszelką wygodę, opiekę macierzyńską i na żądanie lekcje muzyki, u pani **M. Przybylskiej**, wdowy po I. Karzu, a zamieszkałej także przy ul. **Retoryka № 2. Kraków.**

W Zakładzie naukowym 6 klasowym żeńskim

MARYI MATUSZEWSKIEJ

przy ulicy LESZNO № 28 w Warszawie.

Egzaminy zaczną się 2 Września. Lekcje 4 Września.

Szkoła rękodzielnicza cechowa dla kobiet

KAZIMIERY MACZYŃSKIEJ

ul. Mazowiecka Nr. 11, m. 8.

Przyjmuje na różne rzemiosła: kwalifikuje na nauczycielki robót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwo cechowe.



Odświeża skórę i nadaje jej miękkość, delikatność i puszystość,

OSTRZEŻENIE.

Wskutek licznych bezwartościowych naśladowań Pudru „IRIS“ zupełnie nieszkodliwego, który dzięki swym wysokim zaletom, zjednał sobie uznanie, zmuszony jestem prosić Szan. Publiczność o zwracanie przy kupnie uwagi na zamieszczone obecnie marki ochronne, zatwierdzone przez Minist. Skarbu, a znajdujące się na każdym pudełku. Naśladowstwa będą prawnie poszukiwane. Żądać wszędzie w blaszanym opakowaniu z podpisem **H. LACHS,**

pudełko po kop. 15, 30, 50, 75.



„Potrosze zbiorą się grosze“

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO

Pożyczkowo - Oszczędnościowe

MIODOWA 3.

Zarząd Towarzystwa podaje do wiadomości, iż celem ułatwienia w składaniu oszczędności, Towarzystwo otworzy z dniem 20 Sierpnia b. r. nowy dział oszczędnościowy za pomocą skarbonek. Każda osoba, życząca składać w Towarzystwie drobne oszczędności, otrzyma puszkę metalową za zwrot kosztów takowej, zamkniętą przez Zarząd Towarzystwa, przeznaczoną do zbierania pieniędzy oszczędzanych, zaopatrzoną we właściwy № oraz książkę wkładową. Z końcem każdego miesiąca urzędnik Towarzystwa zgłosi się do posiadacza puszki, odbierze zaoszczędzoną kwotę, zapisze do książki i otrzyma poświadczenie o wydanej sumie.

Stopa procentowa od wkładów oszczędnościowych, do pnszek składanych, ustanawia się na 3% w stosunku rocznym.

Wszelkich informacji udziela Zarząd w biurze Towarzystwa codziennie od 9 rano do 3 po południu.

Dla użytku domowego i samouków

NAJNOWSZA I NAJPROSTSZA

METODA KROJU i SZYCIA

z rysunkami

Sukien, Okryć damskich i dziecięcych

EMILJI EHRENKREUTZ

Mistrzini Cechowej z dyplomem paryskim

dn nabycia w księgarniach oraz w SZKOLE KROJU w Warszawie ZGODA 3, CHM.ELNA 24.

Cena rb. 2.

Trzy dyplomy zasługi — Cztery medale złote

i 14 srebrnych

dobra PRAŻMÓW

Telegraf i poczta GRÓJEC (gub. warszawska).

HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ, WIELKIEJ, BIAŁEJ, CZYSTEJ KRWI

ORAZ

PTACTWA DOMOWEGO RASOWEGO.

Hodowczyni *Izabella Ryx.*

W Zakładzie Naukowym 6-oio klasowym żeńskim z Pensjonatem i klasą przygotowawczą

JADWIGI TACZANOWSKIEJ

Chmielna 48 (róg Zielnej)

zapisy codziennie, lekcje 4 Września.

Całun Jezusa Chrystusa

Stydzium naukowe Pawła Vignon'a Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogocennej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony 19-ma ilustracyami, odbitemi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSTUSA.

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

CENA kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz“ Ś-to Krzyzka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Wydawca: *Piotr Laskauer.* — Redaktor: *Maryan Gawalewicz.*